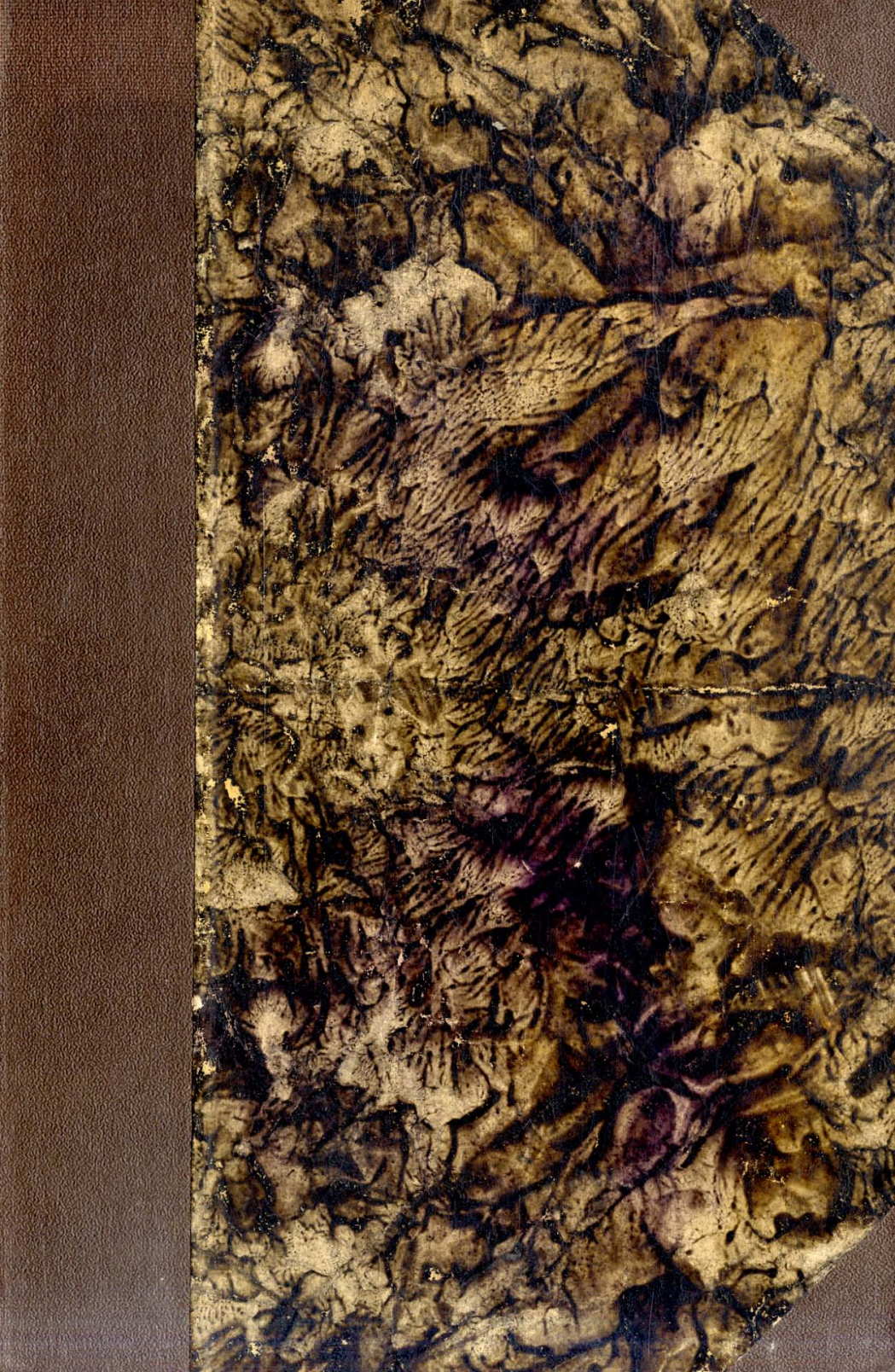

MARYA-JEHANNE-WALEWSKA
(Hr. Wielopolska).

par Ch. J. Watelet.

FAVNESSY

KRAKÓW - KSIĘGARNIA - LITERACKA - 1913

MARYA-JEHANNE WALEWSKA
Hrabina Wielopolska

FAUNESSY

POWIEŚĆ DZISIEJSZA

...leurs corps lumineux, frémissanst
de dentelles —
Et leurs doigts fuselés, que chargeaint
les anneaux —
Et le charme effacé de leurs grâces
mortelles...
(Henry Potez: „*Sonnets de Bruges*").

NAKŁADEM KSIĘGARNI LITERACKIEJ
KAROLA KWAŚNIEWSKIEGO W KRAKOWIE.
WARSZAWA. — G. CENTNERSZWER I SKA.

BIBLIOTEKA UNIWERSYTECKA
im. Jerzego Giedroycia w Białymstoku
FUW0268159

1913.
Czcionkami Drukarni Literackiej w Krakowie, pod zarządem
L. K. Górskiego.

K-168/76/71253 P

WSTĘP

DLA EWENTUALNEGO CZYTELNIKA MEGO.

„Roztrzepaniec pisze dla niewiadomego celu; pedant aby kogoś nudzić; zarozumialec dla miłości własnej; człowiek uprzejmy aby kogoś zabawić; filozof aby kształcić; literat aby żyć — ja zaś aby mnie czytano".

(François-Antoine Chevrier).

O Nieśmiertelności nie marzę, bo a nuż Nieśmiertelność jest tak brzydka, jak nieśmiertelniki?!

O Sławie nie marzę, bo cóż jest sława dzisiaj, kiedy regulatorami jej wzlotów i opadów jest kinematograf i gramofon?!

O pochwałach nie marzę, bo przekonałam się, że największa część ludzi składa się z takich, przy których chwalić można tylko Szeyvid-Alego, sułtana Zanzibaru.

Ojczyźnie zapewne się nie przysłużę — ale wszakże Tassoni już rzekł, że gęsi uratowały Kapitol, lecz żaden literat nigdy jeszcze nic dobrego swej ojczyźnie nie uczynił.

Jestem zresztą jak ów kompas, który wszystkie możliwe kierunki pokazuje, z wyjątkiem północy.

Stosunkowo, nie wielu jest ludzi wstydzących się żebrać, ale jeszcze mniej jest literatów, wstydzących się pisać. Może równie łaskaw jesteś, Czytelniku, dla tych ostatnich, jak łaskaw jesteś dla tych pierwszych. To też czekam pogodnie na wyrok Twój, gdy skończysz książkę niniejszą, bo wedle słusznej obserwacyi Ungera: *die Vorrede besorgt den Autor, die Nachrede aber das Publikum.*

I w tem pech!!! bo wyszłabym może lepiej, gdyby było odwrotnie, zwłaszcza jeśli pan Prokurator przemówi jako... *Nachrede.*

AUTORKA

I.

RONDELE O TEM CO MA PRZYJŚĆ.

Miłość winna być udziałem jedynie dusz subtelnych. Kiedy widzę ludzi ordynarnych, zabierających się do miłości — mam ochotę zawołać:

do czego się wtrącacie?!

(Chamfort).

I.

RONDELE O TEM CO MA PRZYJŚĆ.

...Rien ne mène à l'amour. C'est lui qui se jette à travers de vôtre route.
(Colette Willy).

Beatryx słuchała mnie, owinięta w sztywne, weneckie koronki, zdarte widocznie z jakiegoś antepedyum, bo wił się na nich napis u dołu: *a la beatissima Vergine di Candia.* Sama też siedziała sztywnie, hieratyczna i surowa pod czarną opaską brwi, niczem nie objawiając, że słyszy. Miałam wrażenie, że gdzieś, w jakiejś egzotycznej kaplicy, przemawiam do jakiegoś egzotycznego, milczącego bóstwa, którego ani boli, ani cieszy to, o czem mu baję — i dlatego może mówiłam tak szczerze. Czasami wyciągała się jej klasyczna,

upierścieniona ręka po filiżankę herbaty — usta jej maczały się w jasny płyn — czarno-złote oczy czytały coś na dnie filiżanki, cienkiej jak papier — może imię cesarza Khang-si, który się kochał w portugalskiej dziewczynie?... może subtelną maksymę: *„nie dla tych, którzy są, ale dla przyjaciół, którzy przyjdą"?* — i pytała grzecznie i obojętnie:

— Cóż dalej, Lyonne?

Wówczas zatrzymywałam się, spłoszona. Nie umiałam spowiadać się żyjącym. Gdy jednak klasyczna, upierścieniona ręka stawiała napowrót filiżankę na stół i zastygała na poręczy fotelu — wprost niemateryalna — mówiłam dalej lub myślałam dalej, nie bojąc się długich minut zupełnej ciszy.

— — — — — — — — — —
— — — — — — — — — —

Jej, lub myślom swoim mówiłam, że historya kobiety rozpoczyna się wtedy dopiero, kiedy

położy serce, naprawdę serce, chociażby przelotnie, na dłoni męskiej. Wszystko jedno, czy dłoń ta pociągnęła ją cienkością skóry, szlachetnością linii, czy też jedynie doskonałym polerunkiem paznokci.

Tylko ten zespół da życiu jej konkretne barwy. Zrozumie już wtedy wszechobecność boską w tej wszechobecności boskich wspomnień i — z oczyma obróconemi na wschód, gdzie słońce wzeszło, będzie mogła dowoli rozkładać swój ołtarzyk polowy i schylać głowę w proch ze wzruszeniem, przed słodką — naiwną zawsze — rozzłoconą jego ikoną.

— — — — — — — — — —
— — — — — — — — — —

O wy wszyscy... wy wszyscy...

Kocham was, którzy macie wasze ołtarzyki polowe, jakiekolwiekby one były... Chyba

z wyjątkiem takich, jakie woziła ze sobą stara kwakierka Coulevain'a: symboliczny kufer, opięty angielskim pokrowcem, przezornie zaopatrzony w bieliznę, w szczoteczki do zębów, w mydło, w niezawodne purgatif i książkę do nabożeństwa.

O jakże ciebie kocham, Colette Willy, która otwierałaś lamusy swojej miłości prześwietlonej — dziecinną dłonią, a gestem ulicznika naciskając klamki — — —

i ciebie, Clarisso Paul Adama, która kładłaś biodra swoje białe przechodniom pod nogi, na drogach rozstajnych — wspaniały ołtarz twoich bioder, twoich chuci przelotnych, twoich kaprysów pożarnych, twoich spazmów ekstatyczny kobierzec — — —

i ciebie Francis de Miomandre, który swoje ołtarzyki z piany wodnej na wodzie rozkładałeś, na piasku lotnym, ciągnąc sznurki Pierre Ponsów — — —

i ciebie, Rémy de Gourmont przed chmurnym ołtarzem zadumy swojej — — — o wy wszyscy... wy wszyscy...

— — — — — — — — — —
— — — — — — — — — —

Ja za Kreczmerem powtarzać mogłam:
...Hej! tylko moja dziewicza wiosna
Taka smutna, taka żałosna...
Odgrodziły mnie od życia maski, które natroczyłam sobie u pasa — śmieszne maski i na cokolwiek patrzyłam, widziałam groteskową ich linię, zasłaniającą świat.

Głowa rzeźbiarza jednego czepiła się pamięci mojej nieoderwalnymi kleszczami.

Mówiono o nim ongiś, że kazał mi mokrą glinę całować, aby wedle odcisku moich ust, rzeźbić usta swoim madonnom.

Raz atoli w inny sposób targnął się na usta moje, gdy w balowej sukni mnie zastał

niespodzianie i objawiło mu się ciało kobiece, rzeczywiście śliczne, o które przecież codzień się ocierał, nic o niem nie wiedząc. Chwyciłam go wówczas za ręce, mojemi cienkiemi, sprężystemi rękoma i jęłam go cofać w tył, ku szklanym drzwiom przedpokoju, bez rozmachu; z obojętną flegmą rozbijając meble. A wzdłuż drogi miałam ciągle przed sobą jego twarz, pełną pożądania i upokorzenia i cwikier skrzywiony, który mu spadł aż na koniec nosa, tak że patrzył ponad szkła z nieopisanym komizmem.

Ile razy później pomyślałam, że mógłby mnie jakiś mężczyzna wziąć w ramiona i że miałabym nad sobą jego twarz — przypominała mi się tamta maska groteskowa i... śmiałam się moim cichym śmiechem samotnych ludzi.

— — — — — — — — — —

— — — — — — — — — —

Były i inne maski.

Raz powoziłam młodymi końmi w lesie głębokim, prawie że dziewiczym. Obok mnie śledził każdy mój ruch właściciel tych koni i tego lasu. Czułam, że czyha na mnie, że nerwy jego rozprzęgają się pod wpływem mojej blizkości i mego lekceważącego chłodu. W takich chwilach, dziwna rzecz, obudzała się we mnie momentalnie ta drapieżna, bezwzględna samozachowawczość pajęczycy, która śmiercią każe atak samca.

Lecz czekałam zimna zawsze i obojętna, on zaś, aby grę pokryć, rzekł raptem:

— Niech pani nie dotknie przypadkiem batem lewego, bo on z miejsca w bok skacze.

— Od czegóż lice?! zaśmiałam się i jechaliśmy dalej wśród żaru płynącego z nieba.

A płynął on, pamiętam, jakby wązkiem tylko korytem alei, bo od lasu, po obu bokach, szedł chłód prawie że piwniczny.

Jak w Dżungli wyczuwałam blizkość dzikiego, niebezpiecznego zwierza, chwytałam gamę jego przyspieszonego oddechu i rachowałam sekundy, oddzielające mnie od jego ataku.

Szła znowu na mnie ŻĄDZA, ta wiekuista, dręczycielska towarzyszka kobiet opuszczonych i „bezpańskich". Żądza samca, ta ciągle żerująca na stokach naszych ciał, ta czujna pułapka naszych omdleń duchowych, lub też naszych chwilowych zachcianek.

A w ślad niej powstawała z zatraconych pierwiastków krwiożerczość samicy, taka chęć śmiercionośna, dziś pokrywana jeno ironicznym uśmiechem lub zdawkową impertynencyą.

Zauważyłam dawno w sobie to okrucieństwo, tamowane jedynie prawem wieku bieżącego.

Raz w któremś z niemieckich miast szedł krok w krok za mną elegancki pan, powtarzając słodko:

— *...gestatten Sie Fräulein... erlauben Sie Fräulein...*

Udałam, że nie rozumiem intencyi i z największą ostentacyą, otworzywszy pulares, podałam mu w tył poza siebie 10 fenigów.

Kiedy mnie drugi aż do hotelu odprowadzał, powtarzając szwankującą francuzczyzną:

— *Soyez chentille, madame... ch'ai une chambre... che demeure tout près dans une si cholie chambre...*

— *Tiens?!* — odpowiedziałam z flegmą — *et moi j'ai crû que dans une étable...*

Ta niewinna chęć poniżania i obrażania graniczy jednak bardzo blizko z naciśnięciem cyngla u rewolweru. Bliżej, niżby się to panom psychologom zdawało.

— — — — — — — — — —
— — — — — — — — — —

Dziwna rzecz, jak się ludzkość rozbiegła w dwóch płciach swoich. Jedna wysubtelniła się w mig, oczyściła w mig skórę z owłosienia, w mig przekształciła się w strunę wielogłosową, chłonącą dźwięk i ton, druga zaś pozostała nieruchomo przy praźródle swojem zwierzęcem. W miłości, gdzie człowiek jest najbardziej sobą, mężczyzna staje zawsze na stanowisku drapieżcy, zdobywającego siłą to, co upatrzy. Zwierzęcości jest dużo w miłości kobiecej, ale stworzył tę zwierzęcość mężczyzna, ponieważ rysem charakterystycznym kobiecej miłości jest poddaństwo, a on, wykorzystywując to poddaństwo, nie próbował nigdy uczynić z kobiety *kapłanki* stosunków ich wzajemnych, ale wyszkalał ją od wieków na *ofiarę*, której ukradkiem zdobywa się pierwsze spojrzenie, potem gwałtem fizycznym pierwszy pocałunek, a potem presyą moralną... oddanie całkowite. Tak trwało wieki i do dziś niema kobiet *oddających się*, są tylko kobiety *gwałcone*.

Te białe dziewczyny idące w białych welonach od ołtarza pod dach wybranego człowieka — żadna z nich nie oddała się świadomie, każda została zgwałcona w mniej lub więcej brutalny sposób.

Sakrament... pozory długich konkurów, legalnych czy nielegalnych... to wszystko pozory, bo koniec końców kobieta jest zawsze zgwałcona przez mężczyznę, do czego przygotowywały ją: tradycya i on sam, pierwszy zdobywca. (Bernard Shav może dowodzić co chce.)

Ta nieszczerość sytuacyi fizyologicznych wytworzyła nieszczerość wogóle między obu płciami, a że kobieta była i jest sprytniejsza — liszka swojska — więc okłamała lepiej mężczyznę i okłamuje go do dziś.

Jakże śmieje się jej dusza, gdy ciału swemu każe się wić w objęciach mężczyzny, aby, podsyciwszy tem jego miłość własną, samczą, zdobyć dla siebie quantum rozkoszy — przy końcu —

największe, lub też jedynie, aby go utrzymać przy sobie dowodem, że jest jej ciału tak samo niezbędny jak duszy!!!

A on, Zdobywca, myśli, że ona istotnie wiła się od początku w jego gruboskórnych ramionach, i mówi z pychą, tą, która tak hilarycznie uspasabia kobietę: my wam dajemy jakościowo i ilościowo stokroć większą rozkosz, niż wy nam.

Śmieszny jest w tem przeświadczeniu, ale ani zwierzę, ani mężczyzna nie mają zmysłu śmieszności.

Mówiliśmy o tem raz, a gdy obruszyła się mała Yves na nieobyczajność naszych wyrażeń, rzekła pani El spokojnie:

— Nieobyczajność, moje dziecko, to rzecz tak względna, że równej jej niema na świecie. Oto na wschodzie ukazywanie twarzy jest uważane za największą nieobyczajność, a w Hiszpanii, w XVI i XVII wieku, najnieprzyzwoitszem było pokazywanie... nogi.

Możeś słyszała, mała Purytanko, że gdy jedna delegacya przyniosła narzeczonej Filipa IV artystycznie tkane pończochy, mistrz ceremonii odrzucił je oburzony, mówiąc:

— Królowe hiszpańskie nie mają nóg.

A teraz suknie stają się coraz krótsze, nogi kobiece coraz widoczniejsze, tak, że niebawem staną się widoczne nawet podwiązki.

Beatryx wówczas obudziła się z zadumy swojej i rzekła raptem:

— Widziałam raz pannę młodą, idącą do ślubu. Niosła bukiet biały w ręku, a w tym bukiecie pośrodku, wśród koliska niepokalanie białych kwiatów, tkwił jeden jedyny czerwony lak. Czy możecie sobie wyobrazić coś równie obrażającego poczucie przyzwoitości, jak ten jeden czerwony kwiat pośród białych kwiatów?!

— — — — — — — — — —
— — — — — — — — — —

Rozmyślałam nad tem wszystkiem urywkowo, jadąc wówczas wąwozem płynącego żaru, nagle poczułam obejmujące mnie krzepkie ramiona i usta szukające mojej twarzy.

Nie drgnęłam.

Uśmiechnęłam się tylko potakująco myślom moim i — ile mocy w ręku — palnęłam batem lewego konia.

W jednej chwili harde zwierzę skoczyło w bok, wózek uderzył o pień ze straszną siłą, przechylił się, zakolebał i... gnałam znowu, tym razem sama, bo towarzysz mój został — żyw czy umarły — na pniu.

Jakim cudem to wszystko się stało, tak, jak się stało? nie wiem, ale dojechałam do najbliższej stacyi, konie oddałam chłopu jednemu i wsiadłam do wagonu.

W parę lat spotkałam gentelmena tego na wystawie psów w Monachium. Obojętnie od-

powiedziałam na jego ukłon i chciałam go minąć, gdy raptem podszedł do mnie.

Pasowała się w jego twarzy chęć powiedzenia mi czegoś niemiłego, chęć zemsty, chęć zatryumfowania choćby gołosłownego na chwilę, w zamian za tamtą nieudałą sielankę w lesie — jakieś śmieszne zażenowanie, połączone z tajoną złością.

— A tym koniom... pani wie?... strzeliłem w łeb — rzekł wreszcie tonem druzgoczącej agresywności.

— Tak? — odparłam chłodno, patrząc mu w oczy. — Bo mojem zdaniem komu innemu kula się należała.

I znowu uderzyła mnie groteskowość męskiej twarzy, ta śmieszna jej bezsilność, płaski gniew.

— — — — — — — — — —
— — — — — — — — — —

Dajaccy rycerze, ponoś, ucinają głowy nieprzyjaciołom pobitym i troczą je u pasa. Otóż ja natroczyłam takie maski u pasa i te odgradzały mnie pilnie od innych zjawisk, może mniej groteskowych. Stąd połowiczna była moja znajomość życia, aż ostatecznie z masek tysiąca wyłoniła się jedna, ciekawsza, potem doprawdy droga: ON.

— — — — — — — — — —
— — — — — — — — — —

Beatryx wyciągnęła rękę po herbatę, więc umilkłam z zalękiem dziecinnym.

Było coś wprost niezrozumiałego, gdy ten posążek uczynił jakiś ruch. Jej zaś przeciwnie przyszła refleksya, że mnie uraża swem milczeniem, więc spytała grzecznie a bez presyi:

— Tu się zaczyna twoja historya, Lyonne?

Milczałam dalej, zderutowana, patrząc naprzeciw w cudną jakąś miniaturę Saara, w tajemniczą damę o lokach bronzowych, podpiętych dziką różą.

— — — — — — — — — —
— — — — — — — — — —

Pani El mawiała słusznie, że Beatryx przyszła na świat drogą niezwyczajną, bezpłciową, taką, jaką się mnożą wodorosty: niematematycznie, bo się mnożą przez dzielenie.

— Znasz, Beatryx, te subtelne koronki na wodach? plokamie? albo te szumne a wiotkie pióropusze polizyfonii? One się rozradzają za pomocą rzęs...

— Jakie ty masz długie rzęsy, Beatryx! — konstatowała nagle z podziwem pani de la Serre.

D'Espagnac zaś utrzymywał, że ona przyszła na świat w szklanych jakichś retortach.

— Tylko mózg ludzki mógł ją stworzyć — dowodził ekscentrycznie. — Bóg tworzył ponoś

z niczego, ale ponieważ z niczego tworzył, ponieważ nie egzystowały wówczas żadne zasady, a więc żadne niepodobieństwo, zatem łatwiejsza była jego czynność wytwórcza, niż ludzka, walcząca z tysiącem niepodobieństw.

Genesis powinno było uczyć, że pierwszego dnia Bóg stworzył NIEPODOBIEŃSTWO, a dopiero potem resztę, mocując się sam ze sobą. Tymczasem Genesis uczy, że Bóg stworzył świat z niczego. NIEPODOBIEŃSTWO zostało dla człowieka dopiero stworzone. Zatem mózg ludzki jest bardziej twórczy i on jeden mógł stworzyć Beatryx.

Jakąkolwiek jednak drogą ona przyszła, można powiedzieć o niej to, co Rodin rzekł o antykach greckich: *„rozbijcie je na tysiące kawałków, a otrzymacie tysiące arcydzieł“*.

„Arcydzieło“ podnosiło czarno-złote oczy i deklamowało cicho i obojętnie, nawiązując tylko pozornie do rozmowy:

— Wierzę w pierwsze wrażenie, bo najmocniejsze i decydujące. Dlatego żyć i umierać można gdziekolwiek bądź — tylko rodzić się trzeba w otoczeniu pięknem, aby pierwsze wejrzenie padło na tło piękne i aby Piękno zostało w duszy po wieki.

Beatryx odpowiadała zawsze tak, pozornie tylko nawiązując swoje myśli do toczącej się rozmowy. Było przez to w jej replikach coś z delfickich wyroczni, coś, co jej nie naruszało w jej niemateryalności, a czyniło mimo to, że nie wydawała się wyrzuconą poza nawias życia codziennego.

Jednakże wrażenie niejasne pozostawało, że ona tylko z wygórowanej, salonowej grzeczności nawiązuje wizye swoje jakieś i myśli do toczącej się rozmowy, że to sztuczne nawiązywanie psuje nawet abstrakcyjność jej refleksyi, że więc poprostu krzywdzi siebie i Piękno, otwierając swe maleńkie, czerwone, uprzejme, obojętne usta.

Nawet rzecz tak materyalna, jak kolekcyonerstwo, przepoczwarzała się w niej w coś zagadkowego, niecielesnego, niedającego się pochwycić w ludzki sens. A kolekcyonowała koronki.

Chodziła w tych koronkach, spała w nich, kąpała się w nich ku zdumieniu gawiedzi na plażach. Wprost z łóżka mogła iść na dworski bal, tak bezcenną była jej toaleta nocna.

Włosy miała naturalnie ondulowane, a raczej nienaturalnie poskręcane w loki. Sypiała jak posążek staroindyjski w klejnotach, więc faktycznie wprost z łóżka mogła iść na dworski bal.

— — — — — — — — — —
— — — — — — — — — —

Nieraz, aby ją ujrzeć taką *en tout cas,* wpadałyśmy do jej willi po północy, dzwoniąc gwałtownie w archaiczne dzwonki sznurowe.

Wychodziła natychmiast do drzwi, jak widmo, bosa, z pierścieniami u nóg, niosąc w obu dłoniach ciężki koronkowy tren nocnej koszuli, całej z *puncto tagliato,* lub *alenconów.*

Czarno-złote oczy nie pytały o nic pod czarną przepaską brwi i pod gradem loków *dix-huit-cent-trente,* spadających na szczupłe ramionka. Jedynie uprzejme, obojętne małe usta stawiały okolicznościowe pytanie.

— Nie pytaj! — wołała pani El. — Rozbierz się raz do naga, duszo koronkowa, którą rzeźbił Lucyan Schneeg.

Na twojej jedwabnej skórze musiały już koronki wypisać swoje tajemnicze dzieje. Cała w zygzaki musisz być, bo się wpiły w ciebie ptaki i kwiaty koronkowe dniem i nocą noszone.

Rozbierz się!

W tej szarudze czytać będziemy klęcząco, tragedye zżółkłych róż gipiurowych, dlatego tak

szeroko rozdartych, że przebijano je puginałami na wypukłych piersiach dogaress.

Nie wiedziałaś o tem, Beatryx, że zazdrosny o pazia swego bił stary doża puginałem raz po raz w pierś swojej małżonki, którą tylko te róże gipiurowe osłaniały i tycyanowskie włosy z mosiądzu?!

Myślisz, że te plamy na nich to rdza starości?!

To krew, Beatryx!

Rozbierz się!!! daj nam przeczytać wzdłuż bioder swoich poemat tych *chantilly,* który dyktowała Katarzyna de Rohan wstydliwym mniszkom, tych falbanek, które tyle czasu drżały u porcelanowych rączek markiz wyuzdanych — silniej, gdy rączki te obejmowały kryze na szyjach męskich i gniotły żaboty też koronkowe — męskie kryze i żaboty też koronkowe bywały...

— — — — — — — — — —
— — — — — — — — — —

Beatryx uśmiechała się grzecznie, zawsze hieratyczna i surowa w swoich koronkach, pod czarną opaską brwi, jej chude ramionczka wszakże nazbyt przypominały grand damy Bayrosa z afiszów Moët-Chandon i z jego ex-librysów burżuazyi monachijskiej. Dlatego nazywał ją d'Espagnac: *petit Crémant rose,* albo *petit ex-libris.*

Pani El powtarzała zaś:

— Przepychu stroju twego zazdrościłaby ci nawet madonna *del Sagrario,* a twoje czarnozłote, cesarsko-królewskie oczy, są tak lojalne w pojęciu państwa austryackiego, że każdy Habsburg powinien cię chcieć mieć u swego boku...

Oczy te miała zmęczone pod opadającemi powiekami. Nie wiadomo, czy je przeciążało bogactwo rzęs, czy też przerachowała ongiś każdy węzeł w siatkach klockowych i zmordowała tem oczy.

Ona nietylko może wprost ze snu zbudzona iść na dworski bal, ale i odpowiedzieć w stanie półsennym, z pamięci, ile się mieści oczek na przestrzeni 20 ctm. *resau'a* z Bruges, a ile *picots* na 14 ctm. *Lille*...

— — — — — — — — — —
— — — — — — — — — —

Kiedyś w nadzwyczajnej godzinie szczerości opowiedziała mi Beatryx, co właściwie było treścią jej życia jedyną.

Oddała się człowiekowi, wybranemu z pośród tysiąca. Miłość postawili odrazu na niebotycznej wyżynie — przez białe anioły strażowanej — oboje wolni wobec prawa — więc tembardziej zobowiązani strzedz czystości swoich uczuć.

Po pierwszych trzech miesiącach rozłąki przymusowej przyjechała do niego stęskniona,

szczęśliwa, jak zawsze dumna, że do niego należy i że jest kochaną tak, a nie inaczej — i zatrwożona zawsze myślą, przez niego podsuwaną, że ona miłość ich wspólną więcej kocha, niż jego. Prawie że na progu wpadł jej list kobiecy do rąk, list miłosny, urgujący go o możliwie najszybsze powtórne spotkanie...

Grom w nią uderzył.

Harda, nieskończenie dumna jej dusza osłupiała pod tym ciosem. Wiekuisty brud męskiego uczucia, którego najbielsze ręce zmyć nie mogą, stanął przed nią niespodzianie — ale równocześnie stanęła przed nią wiekuista wyrozumiałość kobieca, ta, która stworzyła owe niezwykłe stanowisko mężczyźnie, ową bezprzykładną swobodę dla niego w stosunkach płciowych.

Nie mężczyzna stworzył sobie swą pozycyę absolutnej, samczej wolności — dała mu ją KOBIETA. Dała mu ją: nieśmiertelna dobroć kobieca — nieśmiertelna jej wyrozumiałość —

nieśmiertelnie w niej drzemiące pod każdą uczuciową powłoką: uczucie macierzyńskie, słodkie, przez palce patrzące.

Więc Beatryx w jednej chwili odczuła chęć przebaczenia jemu, chęć zapomnienia krzywdy wyrządzonej jej i ich, jakoby obustronnie przeczystej miłości.

Drżącemi ustami przyszła tłómaczyć mu krzywdę, którą Miłości ich uczynił.

Przycisnął ją do piersi serdecznie i jął mówić z całym tym charakterystycznym, apodyktycznym spokojem męskim, że przelotna znajomość z *„wiadomą“* panią nie naruszyła w niczem cudu ich miłości, że nie posiadł *„jej“*, ani *„jej“* nie pieścił, że tylko *„ona“* pieściła jego — zwyczajny proceder, aby oddać dług naturze... najpospolitszy hygieniczny środek wobec tylomiesięcznej z Beatryx rozłąki...

Poszerzyły się zdumieniem jej oczy.

No i odeszła.

Mogła wyrozumieć chwilowy upadek — nie mogła wyrozumieć żelaznej, męskiej teoryi, chociażby uprzywilejowały ją wieki.

— I nigdy się już po tym ciosie podźwignąć nie mogę — zakończyła wówczas Beatryx.

— Dlaczego, dziecko? — spytałam. — Przecież tylko poprzez pryzmat niepokalaności waszych uczuć mogłaś go kochać... Była ci chyba na tyle droga miłość wasza...

— Tak — rzekła ciszej — ale on był mi od niej droższym... jednakże droższym...

— — — — — — — — — —
— — — — — — — — — —

— Mów mi więc, Lyonne, o „ołtarzykach polowych“ swoich — przerwała teraz Beatryx milczenie — pani domu obawiająca się, że się nudzą jej goście.

Odezwanie jej spłoszyło mnie znowu na chwilę, lecz tylko na chwilę.

— Fałszywie je może nazwałam: *ołtarzykiem polowym*. Może tak samo mogłam je nazwać: „namiotem", „wigwamem", „parasolem", wogóle mianem, dającem posmak czegoś opiekuńczego, zbawczego — bo ja wiem?

Beatryx potrząsła lokami i — w zadumie, w jakiej zwykle przemawiała, pozornie tylko do tematu rozmowy nawiązując — rzekła:

— Najlepiej wychodzi ten, kto zamieszka w pierwszym lepszym domku przydrożnym i nie myśli, ani dokąd droga, biegnąca popod domek, prowadzi, ani kto domek stawiał i dla kogo.

A po chwili zakończyła:

— Mówią, że most jest na to, aby po nim przejść, a nie na to, aby na nim budować. Dlaczego? Praszczury nasze budowały domki nad wodami, na kołyszących się pomostach z sitowia...

Takiem odezwaniem się nie onieśmielała mnie. Jak rzekłam, Beatryx przemawiająca swoim

tonem wyroczni, nie zawsze zrozumiałym dla prowadzących rozmowę, zwłaszcza jako odsyłacz do poruszanego tematu, nie wychodziła ze swej niemateryalności, więc nie czyniła mi wrażenia słuchacza żyjącego. Spokojnie tedy mówiłam dalej:

— Tylko kupcy bławatni, przemysłowcy naftowi i szefowie bankowych firm żyją przyszłością. Dla człowieka kultury jest tylko to pięknem i ważnem, co sam dotknął, o co sam się otarł — więc: przeszłość o którą się otarł i w której wyżłobił zygzak fantastyczny swego bytu.

Mojej historyi chcesz?

Ach tak! właściwie jej niema jeszcze. Dopiero coś idzie, ociągając się, tajemniczo — gdzieś z bardzo daleka — gdzieś jakimś rekoszetem nieobliczonym.

— — — — — — — — — —

Akompaniowałam raz — dawno — skrzypkowi jednemu w salonie nabitym gośćmi.

Czułam, że za plecami memi ciągle ktoś nowy wchodzi, wita się, siada — ale nie interesowałam się tem: ja. Interesowała się jedynie moja skóra.

Dziwnie niepołączona jest moja skóra ze mną, nie przylega do mnie. Na co reaguje ona gwałtownie, ja wzruszam obojętnie ramionami. Przeciwnie zaś, na co dygocze moja dusza, ona nie reaguje.

Graliśmy długo, dość słuchani, bo skrzypek miał firmę, ja zaś miałam tytuł.

Gdy opuściłam ręce z klawiatury po zawiłej balladzie Sindinga, przedstawiono mi jakiegoś młodego człowieka o wybitnie matowej cerze. Powiedział coś szablonowego, odpowiedziałam i ja jakimś szablonem i usiedliśmy do herbaty.

Byłam jeszcze pełna muzyki, więc milcza-

łam wbrew zwyczajowi, chłodno i krótko replikując na konwersacyjne zaczepki.

Ale że stanowiłam jedyny element arystokratyczny w tym plutokratycznym salonie, więc wiedziałam, że mimo chwilowej szarości mojej sylwety, mimo mocno nietwarzowej sukni, stanowię punkt ciężkości zebrania. To mojej próżności wystarczało.

Co chwila zwracał się ktoś do mnie z banalnym frazesem, na co odpowiadałam równie banalnie.

Młody człowiek o matowej twarzy zabrał głos dopiero wtedy, gdy zaczęto mówić o nowym barze amerykańskim, zajmującym właśnie umysły.

— Była pani w *Crown-Barze?* — spytał.

— Byłam. Nie lubię desensemblu barowego. Podają tam naprzykład turecką kawę, na turecki sposób preparowaną, w okropnych secesyjnych filiżankach. Mogliby przecież rzecz

utrzymać w stylu i dać albo kopie takich tureckich *finganów* z jaspisu, wykładanych turkusikami, albo chociażby kopie majolik maurytańskich, podanych na emaliowanych *sarfsach*, czy też na srebrnych trójnóżkach.

Młody człowiek o matowej twarzy uśmiechnął się prowokująco:

— Gdybymy chcieli, pijąc tutaj turecką kawę, stosować wszystkie tureckie zwyczaje?...

— No to nie pijmy tureckiej kawy — odpowiedziałam zimno i bez wyrazu, poczem wstałam, pożegnałam się i wyszłam.

— — — — — — — — — —
— — — — — — — — — —

Pamiętam — śnieg padał, mokry i brudny.

Za mną wlokła się nuda, przetykana tylko gdzieniegdzie srebrzystem echem ballady, dopiero co odegranej.

Ani jednej twarzy nie przypominałam sobie z całego zebrania. Wiem, że fraki były źle skrojone, panie ubrane nielinijnie, ręce nieutrzymane, niepolerowane paznokcie.

Prawda!... oprócz tego młodego człowieka o matowej twarzy — n-tak... Tyle tylko pamiętałam, że miał twarz o uderzająco matowej karnacyi, co było mi zawsze sympatyczne i — polerowane paznokcie, co było mi zawsze obojętne, aż do tej chwili jednakże, kiedy spotykałam człowieka o paznokciach... niepolerowanych.

Wieczorem odjechałam na zachód, z zupełnie pustemi rubrykami, temi, w które się wpisuje rzeczy ciekawsze z życia, figury ciekawsze. Nie spotkałam nikogo ciekawego.

Dziwiłam się nieraz, że w każdym prawie nekrologu czytamy: „zmarły był jedną z tych rzadkich osobistości...“ a w życiu spotykałam same szablony.

Czyżby trwał wieczysty pomór na osobistości rzadkie?!

— — — — — — — — — —
— — — — — — — — — —

W sprawie pobocznej otrzymałam list od tego młodego człowieka o matowej twarzy.

Odpisałam — przyszła znowu replika, tym razem silniej zabarwiona, cięta, literacka i — rozpoczęła się korespondencya o *leitmotiwach* zrazu nikłych jak pajęczyna, bo mówiliśmy o wszystkiem, tylko nie o sobie, choć zaczęliśmy siebie nawzajem interesować.

— A... aż tak? — rzekła jak przez sen Beatryx.

Drgnęłam i urwałam bajkę moich dni, w których nikt od najwcześniejszego mego dzieciństwa bajek mi nie opowiadał.

Jakaś bezbajkowa wróżka zatrzymała się ongiś dłużej nad moją kołyską, tak, że wszystko,

co przeżyłam dotąd, można było ręką uchwycić, spojrzeniem objąć, lub nogą podeptać.

Nie było nic z tych nieuchwytnych promieni, które wpadając do pokoju naszego, rozpylają czyste złoto w oczach naszych, czepiają się naszych rzęs, poją nasze usta, drobnymi klejnotami okrywają nasze sprzęty. Nic się nie obiło o ściany duszy i nic nie plądrowało po jej głębiach.

— — — — — — — — — —
— — — — — — — — — —

Ujrzałam raz w witrynie antykwarskiej piękny relikwiarz. Weszłam do sklepu zapytać o cenę i dowiedziałam się, że właśnie przed chwilą atak apoplektyczny zabił właściciela.

Rzeczy nie były już na sprzedaż.

U mnie przeciwnie. Ja żyję, ale w witrynie duszy mojej nie leży nic, nie zatrzymuje nic.

Pusta jest witryna mojej duszy.

— — — — — — — — — —
— — — — — — — — — —

— *Nie pamiętam nawet, czy włosy Twoje są jasne* — pisał on ostatnio. — *Zaledwie sylweta Twoja utkwiła mi w pamięci, bardzo szczupła — z tych, które mężczyźni tak lubią przeginać w swoich brutalnych ramionach, aż się odezwie ostrzegawczy chrzęst kości.*

W Tobie-by nawet kości nie chrzęściały, przegięłabyś się tylko, wdzięczna i smukła, podając usta i cicho szukając rękoma ust tego, któryby Cię brał.

Nie wiem, dlaczego mam wrażenie, że Twoje ręce muszą dotknąć każdej rzeczy wpierw, nim ią dotkną usta lub oczy. Śni mi się więc, że gdybyś się przegięła w moich ramionach — o sny nie do spełnienia! — to gdybym się nachylał do

twarzy Twojej młodej i małej, wyciągnęłabyś najpierw ręce i — delikatnie, palcami, które muszą być cienkie, obwiedłabyś usta moje, aby znać plastycznie ich rysunek, zanim się one oprą o usta Twoje.

Czy prawda, Lyonne, że masz ręce czujne, strażujące nad wszystkiem, czegoby się oczy Twoje tknąć miały lub dziewczęce usta? Obronne, chybkie ręce, mądrzejsze od ust i oczu, które dziecinne zostały? Mądrość Rąk Twoich nieznanych pozdrawiam i Dziecinność Twoich Oczu i Twoich ust, które widziałem, nie widząc...

II.

„WAGGELT DE POP...“ [1])

Cecylii Walewskiej
ten rozdział ośmielam się poświęcić.

---

[1]) „Balançez la poupée“ — „huśtajcie lalkę“ — okrzyk, używany w Holandyi przez muzykantów, rozpoczynających grać do tańca.

II.

„WAGGELT DE POP...“

Athanaël: là, je t'enfermerai dans l'étroite cellule. Mais d'abords anéantis, ce qui fut l'impure Thaïs. Thaïs: Père qu'il en soit ainsi. Je ne veux rien garder de mon passé, rien que cela... Cette image d'ivoir, cet enfant, d'un travail antique et merveilleux. C'est Eros! Quand Nicias m'aimait, il m' offrit cette image... (Thais).

Siedzieliśmy raz u pani de la Serre. Beatryx, w szacie grzechu, bo cała spowita w teatralny płaszcz ze starej klockowej, niderlandzkiej koronki, przedstawiającej Grzech Pierworodny i Wygnanie z raju — wsunęła się w jakiś fantastyczny mebel, którego zarysy ledwo były widoczne. U pani de la Serre bowiem panowały raczej ciemności.

Podnosiła ona swoje pańskie brwi nad oczyma z terraverte (z Wau, który żółtą farbę daje) i mówiła:

— Wydaje mi się okropnem, aby taka potęga jak człowiek żadnej roli nie grała w zakresie światła. Boli mnie wprost, że gdy do pokoju jasno oświetlonego, lub ciemnego, wchodzą ludzie rzadcy, jak pan, panie d'Espagnac, lub ludzie piękni, jak ty naprzykład, Beatryx, że lampy nie zaczynają świecić jaśniej, lub gasnąć.

Dlatego też światła u mnie niema stałego, dlatego każdy dostaje w przedpokoju katakumbową lampkę oliwną i każdy z taką lampką zapaloną do mnie wieczór wchodzi, tak, że za wejściem człowieka przybiera światło i każdy jego ruch światłem reguluje.

— — — — — — — — — —

— — — — — — — — — —

Może z powodu tych lampek, przypominających zwyczaje jansenistów w Port-Royal, nazywała ją pani El: „Jansenistką" — tem słuszniej, że wywodziła się ona istotnie od rodu słynnej Siostry de la Serre, która jako biała mniszka w Maubuisson, tańczyła naga z mnichami z Saint-Martin-de-Pontoise, pijąc wina szumiące w kościelnych kielichach, a która potem orała sobie ciało dyscyplinami, aż do kości, pod wszechwładnym rządem jansenistki Maryi-des-Anges w Port-Royal.

W pani de la Serre doprawdy było dużo i z tej wyuzdanej kurtyzany, ubranej w habit Maubuissonu i z tej ascetki z Port-Royal. Widać było po niej, że jeżeli się daje komuś, to tak, jak się daje zabawkę, z uśmiechem obojętnym i prostotą.

Poza mianem Jansenistki nazywała ją pani El: „Mormonką" — niewiadomo dla jakich przyczyn pomawiając panią de la Serre o wyznawanie zasad Brighama Younga.

D'Espagnac zaś utrzymywał, że pani de la Serre porusza głową, jak tancerze ze słynnego paryskiego balu *„OFIAR"* — z tych czasów terroru i szału, kiedy Paryż tańczył kankana w salach nowicyatu jezuickiego i w klasztorze Karmelitanek-*du-Marais*.

Na balu *„OFIAR"* pozdrawiano się ruchem głowy, kładzionej między dwie fugi, te fugi, co regulują nóż w gilotynie.

— — — — — — — — — —
— — — — — — — — — —

Pani de la Serre podobnym ruchem wznosiła i opuszczała głowę. Po bokach jej owalnej twarzy dzwoniły stare kolczyki z czasów Rewolucyi francuskiej: malutkie dwie gilotyny ze szmaragdu. Na końcu jednej wisiała rubinowa koronowana główka Maryi-Antoinetty — na końcu drugiej: główka Ludwika.

Dziwnie w tem drapieżnem obramowaniu wyglądał stanowczo niejakobiński owal jej twarzy, lustrzane odbicie księżnej Salm-Auersperg z miniatury Fuegera, tego *Cosvay of Vienna*, który cokolwiek kiedy w oczach modlitewnych wyraził, temu zaprzeczył w ustach, zmiażdżonych profanacyjnymi pocałunkami ladajakich nawet warg.

U pani de la Serre usta płonęły więcej niż Fuegerowskie, mokre, szczerze wyuzdane, w stosunku do jej mistycznych oczu z terraverte — czyniąc plamę wprost denerwującą na jej cerze, o której pani El mówiła, że była z gatunku „ślepych jedwabi".

Dziecinne ręce składała dziecinnie na kolanach, a tylko na jej usta patrząc, można było nabrać pewności, że ręce te równie nabożnie potrafią przesuwać ziarnka różańcowe, jak kartki przewracać, zdobione rycinami Fragonarda.

Z bezwzględnym spokojem i jednaką ado-

racyą przenosiły się jej modlitewne oczy z cudnej św. Agnes, rzeźbionej w złotożółtym bukszpanie — przez Claud'a *St. Rosset,* na stary szyld jednej księgarni paryskiej z końca XVIII wieku, wiszący jako suppraporte o groteskowym napisie: *Librairie à Nôtre Dame de la Guillotine.*

Jednako patrzyły na projekt witrażu, na którym wiło się pokaleczone ciało Lidwiny *de Schiedam* — straszniejsze niż opis Huysmansa — jak na illustracye Marillego do bajek Lafontaina, na sztychy Lavreinca, na *Posirioni* Caraccia...

— — — — — — — — — —
— — — — — — — — — —

Wszystko to gmatwało się w jej magnackich salonach. Bratały się sprośne estampy, od Basseta z *rue St. Jacques,* ze słodką chorowitą główką jakiejś madonny *col bambino.* Czarny od starości anachoreta patrzył z podełba na rozebraną *Gimblettę* Fragonarda, podrzucającą

pieska bosemi, nerwowemi nóżkami. Pośmiertna, woskowa maska jakiejś dominikanki gorszyła się dzień i noc kolorowanym szkicem do GRZECHU Stucka, zdobnym w ramy de Bry'ego, a ekstatyczna głowa świętej Teresy rzucała gromy w *La Comparaison* Lavreinca, w której pogodnie odsłaniały piersi dwie młode markizy, ważąc, która ma pierś pełniejszą...

Koronowany gryf z perugiańskiego *Palazzo Comunale* pokrzywiał się wzgardliwie filigranowym bestyom Jany Poupelet.

Żałosne i niewinne pamiętniki 11-letniej mniszeczki, Heleny Tarabotti, ocierały się o płomienne, miłosne listy Maryanny d'Alcoforado.

Z mebli, potrącały się cacka Biedermayerowskie, Riesenery o fatalne sprzęty w stylu Louis-Filipa, o jeszcze okropniejsze modernstile prof. Selcera, Frietschiego, Niedermosera.

Niewysłowionej intenzywności akt Viegelanda miażdżył banalność Puecha i Injalberta.

Marmurowy ogromny model katedry z Reims opierał się o wazę Alfa Wallendera, na którym mleczny łabędź obejmował skrzydłami perłową Ledę i z którego wystrzelał pęk sztucznych kwiatów — bo tylko sztuczne, kościelne znajdowały miejsce u pani de la Serre — najrzadsze kolekcye kwiatów, od tych począwszy z perfumowanego papyrusu, jakie w XV wieku robiono, aż do najpospolitszych z *satin antique*, welwetu, atłasu, angielskiej skóry, perkalu i kauczuku.

Nad relikwiarzami Bernharda zwieszał się baldachim, pod którym niesiono ponoś przed laty zabalsamowane zwłoki królowej Izis-em-Kheb wzdłuż Nilu. Cały z kwadratów skór antylopich, farbowanych i łączonych symbolicznie festonami i figurami, stykał się bezpośrednio z gobelinkiem Anny Boberg, z krzyczącą, zuchwałą kakofonią sukiennych pawi, mew i tulipanów.

Przedmioty u pani de la Serre były zawsze używane do innych celów, niż je natura stworzyła.

I tak w bajkowych kadzielnicach Windsheima trzymała papierosy — szampan mrożono u niej w starochrześcijańskich baptisariach — paznokcie polerowała o wyświechtane aksamity czapraków średniowiecznych — humerałami wycierano u niej trzewiki — staroświeckie czepce służyły jako umbry do lamp — feretrony zasłaniały piece — na zmodernizowanym, bizantyńskim ołtarzu Fassnachta miała gotowalnię. Stały lustra, lusterka, puszki i pilniki — tak efronteryjnie, że człowiek i ich celowi nie dowierzał, posądzając, że i one służą do innych, pani de la Serre tylko wiadomych celów.

Stare materye w profuzyi walały się wszędzie. Deptano po fragmentach syryjskich i sycylijskich materyi, po dywanach, piękniejszych, niż te z Hampton Court.

Przydymione złoto brokatów, ściemniały połysk jedwabi dawały ton cudny ścianom, ten ton, który już został dziś zabity przez anilinowe farby.

Dziś niema już półtonów, półświateł, malarskich niedomówień... wszystko się śpiewa, wszystko oświetla, wszystko mówi.

Autentyczne kandelabry Meissoniera stały puste, bez świec. Biły zegary Delafossa, i w tym tic-tacu skupowanych na obu półkulach zegarów, gwarzyliśmy u pani de la Serre.

(Zegary nakręcała służba — pani de la Serre bowiem twierdziła, że nie ważyłaby się przez nakręcanie ograniczać ich indywidualności).

— — — — — — — — — —
— — — — — — — — — —

Trzy buldogi strażowały przy niej zawsze, w pozach monumentalnych. Jeden z twarzą Verlaina, cokolwiek gorzką — drugi z ponurą twarzą Beethovena — trzeci z twarzą Humperdincka, pogodną i zadowoloną ze siebie. Nazywała je en bloc: *TRICOLORES*, a gdy ją raz zapytałam dlaczego? — wyjęła pikantne dziełko księdza de Voisenon ze starego kredensu i odczytała mi swoim melodyjnym głosem altowym:

...la reine devint grosse, elle en fut enchantée; elle n'accoucha que d'une fille, elle en fut désesperée. On delibera longtemps pour savoir, comment on nommerait cette petite princesse.

La reine alors n'avait que trois amants — dont l'un était brun, l'autre blond, le troisième châtain.

Elle donna à sa fille le nom de TRICOLORE, ce qui prouve, que cette majesté avait une grande idée de la justice distributive.

Otóż widzisz na pamiątkę tych słów niezrównanych dałam moim buldogom, ponumerowawszy je, imię: TRICOLORES.

— — — — — — — — — —
— — — — — — — — — —

Bukszpanowa św. Agnes była barometrem humoru pani de la Serre. Gdy bowiem pragnienie jej jakieś nie zostało spełnione — a o każdą rzecz modliła się do św. Agnes — odwracała ją twarzą do ściany, co zapowiadało każdemu, że pani de la Serre nie będzie w dobrym humorze.

Dziś stała właśnie figurka nosem do ściany obrócona. Zatrzymała się przed nią pani El.

— Wiesz, Jansenistko, że z pewnością jej przyjemniej w tej pozycyi, bo ostatecznie święta dziewica musi się czuć dyablo nieswojo, gdy patrzy na twoje Graveloty i Caraccia...

— O nie! ona się już przyzwyczaiła. Zresztą odmawiam codzień jedną bardzo skuteczną „Modlitwę do 28.000 kropel krwi Zbawiciela“ za dusze tych, co to wszystko malowali... Chcesz odpis tej modlitwy? Dał mi ją kapelan pewnego klasztoru Niewidomych Panien w Bretanii. Ale czy ja wam opowiadałam kiedy o tym klasztorze Niewidomych Panien?

— Nie. Opowiedz nam to żywo, Mormonko, która mordowałaś dzieci w Mountain Meadows i dziewczynkom gardła roztwierałaś od ucha do ucha bowie-knifem...

— Mano poderosa! nigdy nie mordowałam dzieci — odparła nieco urażona pani de la Serre — i żadnym dziewczynkom gardła bowie-knifem nie roztwierałam...

— ...acz radaby dusza do raju... — mruknął d'Espagnac.

Zamyśliły się oczy z dzikiej rezedy, ściągnęły się pańskie brwi, a zmysłowe usta zaczęły opowieść wolno:

— Włócząc się po Bretanii, usłyszałam, że jest w pobliżu klasztor Niewidomych Panien.

Zachciało mi się zobaczyć ten dom dziwny, bez okien, bo pocóż okna dla duchów błądzących omackiem? Dom bez obrazów, bez ozdób, bez sprzętów prawie, cichy i zamarły, dyszący tylko modlitwą i zapatrzony oczyma duszy w ab-

strakt i nieskończoność. Nagi i pusty, kryje oderwaną od ziemi garstkę istot dziwnych, kwintesencyę bezcielesności, prawdziwą negacyę życia ludzkiego, odskocznię tylko, z której runie się w świetlaną przepaść absolutu, ze snu czasowego w sen wiekuisty [1]).

Poszłam doń tedy z bukietem pachnących silnie kwiatów, mających mi drogę torować poprzez szpaler ślepych zakonnic.

Klasztor stary był, starszy pewnie od Zgromadzenia, smutny, cały cynobrowy i szary. Kaplica była na oścież otwarta, więc wstąpiłam do kaplicy, przed progiem zamykając oczy jakimś ruchem bezwiednym, jakby ogarnięta już atmosferą tego miejsca, gdzie wszyscy mają oczy zamknięte. Poprostu chciałam wyczuć tę atmosferę skórą moją, chciałam wssać się duszą w to

[1]) Panna Bergunion założyła około r. 1851 we Francyi klasztor Niewidomych Sióstr św. Pawła, do którego wstępują ciemne dziewczęta.

niepodobieństwo bezcielesności — skoczyć wprost z mego życia bujnego, dyonizyjskiego, w bezkresnicości.

Z zamkniętemi oczyma posunęłam się parę kroków naprzód i — poczułam nagle chłodne, lepkie dotknięcie na twarzy.

Cofnęłam głowę w szalonem jakiemś przerażeniu i otworzyłam oczy.

Muskały mnie właśnie metalowe frendzle chorągwi. Łuna światła ogarnęła mnie, żarząca się w bocznym ołtarzu. Oślepiła mnie świeża złoconość krzyżów, gzymsów, tabernakli — wiśniowa barwa tanich witraży — przykuły mi wzrok na chwilę oszalałe igrzyska much, bębniących w cynowe lichtarze.

Uczucie zawodu otrzeźwiło mnie natychmiast. Zaczęłam rozglądać się po kaplicy, krytycznie już i raczej źle usposobiona.

Z głównego ołtarza olbrzymia św. Łucya podawała parę własnych oczu na srebrnym ta-

lerzyku, zaznaczając, że jesteśmy w przybytku ślepych. Jej puste oczodoły patrzyły bezlitośnie w próżnię, denerwujące i upiorowate.

— — — — — — — — — —
— — — — — — — — — —

— *T' t'embètes, mon fils?* — przerwała niespodzianie pani de la Serre, zwracając się do jednego z psów, który właśnie ziewał.

Buldog z twarzą Verlaina podniósł znudzoną mordę, nieokreślonym grymasem dając coś do zrozumienia.

— On się nie nudzi nigdy — rzekł poważnie d'Espagnac — tylko inni go nudzą. Akurat jak książę de Ligne...

— To dobrze — kiwnęła głową pani de la Serre, rzucając psu kawałek jabłka, bowiem karmiła zawsze owocami swoje buldogi, utrzymując, że to „uczłowiecza" ich intelekt i że dlatego

Ewa karmiła jabłkami Adama w raju, co Bóg Ojciec nieopatrznie przerwał.

— — — — — — — — — —
— — — — — — — — — —

Potem rozpoczęła na nowo:

— W bocznej nawie wisiał duży Chrystus, nizko, prawie na ziemi, dobrotliwy i przystępny — wulgarna kopia cudnego padwiańskiego Donatella. Cztery zakonnice klęczały przed nim, z welonami spływającymi, jak opar rzeczny, wzdłuż ramion.

Wyglądały tajemniczo, spowite w tą mgłę — ptaki nocne, błyskające tylko od czasu do czasu białą plamą twarzy i rąk, błędne ogniki, znikome i zwodne.

Oczy miały zawarte i milczały nie złożywszy nawet rąk, podobne do ex-votów, lub do tych figur z prymitywnych płócien, które po

bokach madonny klęcząc, przedstawiają „fundatorów“ obrazu.

Jedna z nich, po długiej kontemplacyi, poruszyła się i, wyciągnąwszy rękę przed siebie, jęła nią cicho i miłośnie przesuwać po twarzy Chrystusa.

I musiały te szczupłe ręce wyczuć coś pięknego, mimo iż Chrystus był brzydki i wulgarny, bo usta zadrgały, palce zaś jęły się zniżać, aż natrafiły na ranę Najświętszego Boku.

Wówczas nachyliła się biała twarz i usta wpiły się w drewnianą ranę, prawie spazmatycznie.

— Rano Najśw. Boku, wybaw ją! — zaczęły mówić chórem wszystkie, uparcie, tępo, z taką żałośną rozpaczą małych dzieci, które proszą o ciastko.

Gdy przestały tłuc głowami o posadzkę, zapytałam pierwszą z brzegu:

— O co się tak modlicie, Siostro?

Nie zdziwiły się.

Widocznie dawno wyczuły już moją obecność. Obróciły tylko twarze do mnie, małe, w opłatku kremowym rzeźbione, dziwnie przypominające pyszczki oswojonych łasiczek, węszących niechętnie zbliżanie się obcego i posunęły się naprzód automatycznie, tak że znowu odskoczyłam, ogarnięta dziecinnym strachem, że i po mojej twarzy zaczną się przesuwać te szczupłe, wilgotne ręce.

— O Siostrę Felicytę się modlimy — odparła najstarsza lakonicznie.

— Chora?

— Chora.

I zapadła cisza, lecz nagle, jakby je znowu szał rozpaczy ogarnął, zaczęły mówić wszystkie, pospiesznie, trwożliwie, obłędnie.

Umiera Siostra Felicyta, ta jedna, która pośród nich widzi, ta jedna, która wśród wiecznej nocy prowadzi je i trzyma. Niema już wi-

dzących ani w nowicyacie, ani w wyższych chórach. Noc pozostanie teraz bezkreśna.

— Ona jest przełożoną? — spytałam.

— Nie — odpowiedziała ta, która bok Chrystusowy całowała. — Ja jestem przełożoną.

Zrozumiałam teraz, dlaczego tamte całowały podłogę, a ona jedna bok Chrystusowy.

Tymczasem zbiły się one w gromadkę jak owce.

Oczy ich powoli otwierały się, mętne, blade, niewidzące, jakby próbowały, czy której z nich Bóg wzroku nie wrócił, aby mogła poprowadzić Siostry w bezdnie wiekuistej nocy.

Dreszcze jakieś biegały po tych malutkich, kremowych twarzyczkach — mumijki żałosne, zeszłe z nieznanych sarkofagów — i raptem z tych bladych, mętnych oczu jęły płynąć łzy, duże, ciężkie, bezradne, nieskończenie smutne, że z próżni w próżnię się toczą.

Uczucie dobrego, litośnego uniesienia porwało mnie nagle.

Doszło mnie wprost plastycznie dotknięcie dziesiątka rąk chudych i wilgotnych, czepiających się mojego płaszcza i moich dłoni, abym drogowskazem była w miejsce tej, która umiera.

I odczułam całą znikomość światowości i wielkości, przyszedł mi na myśl ostatni z Borgiów, który właśnie umarł nędznym fotografem w Londynie i ostatni z Medicich, który jako kościelny dzwoni w brukselskiej katedrze i przyszła mi na myśl bezpożyteczność szałów miłosnych, bezpłodność erotycznych ekstaz — bezjutrowość naszych ukochań — bo powiedzcie, czy miłość nie jest bezpłodną w zasadzie, chociażby narodziny całych pokoleń były jej następstwem?!

— — — — — — — — — —
— — — — — — — — — —

— Myśli pani? — przerwał d'Espagnac, który nigdy nie ominął sposobności, aby o miłości mówić. — Miłości bezpłodnej niema. Nie głoszę tego z punktu widzenia ginekologicznego, ani nie chcę konkurencyi robić pani Luizie Toussaint w jej zakresie. Utrzymuję tylko, że miłość ma za wielki wpływ na twórczość człowieka, na jego intelekt, na kształtowanie się jego historyi przez ciąg wieków, aby módz dyskutować o jej bezpłodności, o zgubnym wpływie ostrożności, np. erotycznej na losy ojczyzny etc.

Uczą starzy mantykowie, że zbliżenie się dwojga ludzi jest aktem przemyślnej natury tylko, dążącej do multyplikacyi, a więc, że zbrodnią jest, gdy miłość zadania swego reprodukcyjnego nie spełni. Ja twierdzę, że miłość zawsze zadanie swoje spełni, że wszystkie szaleństwa miłośne, bezpłodne, są płodne znowu w znaczeniu innem, pobudzając dynamikę twórczą, płodząc arcydzieła, kształtując historyę...

Nic w Naturze nie ginie i w tem leży płodność wszelkich zjaw życiowych wiekuista.

— — — — — — — — — —
— — — — — — — — — —

— Może. — Ale wtedy myślałam inaczej, więc zwróciłam się do Sióstr i rzekłam:

— Mam oczy zdrowe i kto wie, czy nie zostałabym z wami.

Poruszyły się gwałtownie i wyciągnęły się do mnie cztery pary rąk szczupłych, jak z toni, białe macki, łakome i trwożliwe, które chwilę drgały w powietrzu, szukając moich rąk, wreszcie spoczęły na łokciach moich i powiodły mnie w głąb coraz czarniejszych, coraz ciemniejszych kurytarzy.

Było coś niesamowitego w tem, że mnie, widzącą, prowadzą niewidome w jakieś krużganki zawiłe, gdzie doprawdy oczy już były

zbyteczne, a na końcu których czekała Śmierć przy łóżku Siostry Felicyty.

Zaraz w progu uderzyły mnie jej oczy — istotnie przedziwne oczy, duże, płonące, dumne, namiętne, gorzkie.

Coś chciała powiedzieć, lecz nagle rzuciła się w tył i uparcie trzymając oczy otwarte, skończyła wśród ciszy, z której zakonnice wyczytały może co się stało, bo zwróciły się do mnie niespokojnie.

Zaczęły się schodzić inne postacie, wizyjne, w welony spowite, o twarzach umarłych dzieci i zamkniętych powiekach, a wśród nich ja jedna patrzyłam w otwarte oczy Siostry Felicyty, przedziwne, duże, gorzkie, zniewalające mnie swoją natarczywością.

— Patrzy? — spytała cicho jakaś nowicyuszka o ekstatycznej głowie.

— Patrzy — odrzekłam takim głosem, jakim się mówi o cudzie.

— Patrzy, ale już jest jako i my — rzekła raptem przełożona. — Wieczne odpocznienie...

— ...racz jej dać Panie... — buchnęły zakonnice i twarze zwróciły się znowu do mnie, ale podwładne już, pokorne, takie, jakie się musiały zwracać w ślad za Siostrą Felicytą dawniej. Czuło się w tej ciszy dzwoniącej, że pryska czar Siostry Felicyty, a wszystkie zamknięte usta i oczy pytają mnie:

— Wrócisz?!

— Oczy musisz mieć tak władne, tak cudne, kiedy ci je Bóg zachował — mówiła mi ekstatyczna twarz młodej nowicyuszki.

A tamte oczy patrzyły coraz uporczywsze, coraz namiętniej się domagające, aby przez zastępstwo nie grzebano ich wspomnienia i ich mocy. Pycha rzeźbiła nieskończona jej drobne usta, taka zacietrzewiona zazdrość o stanowisko jedyne, o trzon tej pochodni, którą wśród nocy niosła, aż sama utonęła w zmroku.

Pojęłam, że dla niej przystrajano tu i złocono ołtarze — nie dla bóstwa, ale dla niej — że dla niej witraże wiśniowe wstawiano, dla niej obrazy rozrzucano i kwiaty. Dla jej oczu. Jedynych...

Więc nie wróciłam, choć mnie Siostry Niewidome w rozpaczy czekały i choć mnie wówczas ciągnęło nieprzeparcie to życie wśród trumien...

— — — — — — — — — —
— — — — — — — — — —

— Dlaczego nie wróciłaś?—spytała Beatryx słodko, nie rozumiejąc tej zawikłanej filozofii.

Pani de la Serre uczyniła nieokreślony ruch ręką:

— Nie mogłam w drogę wchodzić tamtym oczom... Poszłam.

Długi moment trwało wśród nas milczenie i każde z nas z pewnością dziwiło się w duchu

subtelności motywów u pani de la Serre, której fantazye znaliśmy dotychczas jako niezwalczone.

Co mogło wpłynąć na nią wówczas, że nie poddała się fantazyi, choćby na czas krótki i uległa motywom tak „cienkim"?!

Nagle przerwała ciszę pani El, zapytując ni stąd, ni zowąd:

— ...a on był blondynem i miał czarne oczy, ten, z którym poszłaś wówczas, Jansenistko?

— Nie!—żachnęła się pani de la Serre.— Jaki blondyn?!

A po chwili dodała marząco i zgoła niespodzianie:

— Ten?... wówczas?... On miał oczy jasne, a włosy czarne, czarne, ach! jakie czarne...

III.

LA GAYA SCIENZA.

A mes très chers Amis de Bruxelles:
C. J. Watelet, *le merveilleux artiste* —
Lyonne, *la petite déesse incomparable.*

III.

LA GAYA SCIENZA.

Jak mało potrzeba do szczęścia:
Tonu kobzy . . .
(Nietzsche).

Właściwie nie pojmuję, jak można jakiekolwiek subtelniejsze uczucie wyrażać nogami. Gdy przychodzi moment naprzykład, że zwykły śmiertelnik załamuje ręce, czyżby Isadora Duncan załamywała nogi?! — Fâhr-el Nissâ rzuciła to pytanie, patrząc z niedającą się opisać pogardą na tańczącą panią de la Serre, potem zwróciła się do brata swego (i narzeczonego zarazem) i dokończyła:

— Pamiętasz tę indyankę w Kairze? Ta przynajmniej chciała wyrazić tańcem to, co nim

absolutnie wyrazić można — dla tego wolę *danse du ventre.*

— ...albo polkę-mazurkę na balu pomocników fryzyerskich — mruknął ironicznie d'Espagnac, podparty obu dłońmi i zapatrzony w panią de la Serre.

Tańczyła *Valse Triste* Sibeliusa. Nago. Utrzymywała, że inaczej walca tańczyć nie można, tak, jak nie można inaczej tańczyć menueta, jak w białej peruce. Słuszność miał Vigée, twierdząc, gdy *„walse"* przybył do Francyi, że nie dziwi się, iż tańczą go matki, ale dziwi się, że matki pozwalają go tańczyć swoim córkom.

Walca może tańczyć tylko kobieta, która wie, co jest: miłość, cielesna zazdrość i erotyczny spazm. Z tych trzech pierwiastków składa się brzmiący trzyćwierciowo jego rytm — mówiła pani de la Serre, cicho wsuwając się, jak antyczny posąg, na czerwoną, kamienną posadzkę, z której ściągano pospiesznie dywany.

Fantastycznym zygzakiem odbijała się jej postać w lśniącej powierzchni, na której delikatne, białe, nerwowe jej nogi wybijały takt przedwstępny.

Jak przydymiona wisiała nad nią ogromna perska kotara, sypiąc, zda się, wprost na jej rdzawe włosy, bogactwo blado i ciemno-błękitnych kwiatów, o liściach oranżowych, konturowanych turkusową barwą, nakrapianych purpurą tła.

Lampki nasze oliwne, trzymane w rękach, rzucały poświatę niezdecydowaną, chryzolitową, na ruchy tych rozpasanych białych lędźwi, białych ramion, białych stóp, przy których strażowały potworne mordy trzech buldogów.

Unosił się nad tym obrazem duch Ropsa, a może nawet duch Goyi, zmysłowy czar rzeczy wiecznych.

— — — — — — — — — —
— — — — — — — — — —

Pani de la Serre żądała, aby akompaniator stosował się do jej tańca, nie ona do muzyki.

— Z dwóch elementów winien brać górę element potężniejszy, a największa potęga jest w ciele tańczącej kobiety: tajemnica jej ust, jej oczu, jej łona, tajemnica bytu w jej geście, który wszystko daje, nie dając nic, albowiem wszystko jest znikome, wszystko się rozpływa jak korowód tanecznych ruchów, jednocząc w sobie zagadkę życia, negacyę życia i samo Życie.

Piękno najotchłanniejsze.

Ludzie, chcąc spopularyzować dostojność Sztuki, uczynili z tańca solowego: taniec w pary. I tak wkroczyła pornografia do tej świątyni. Taniec w pary bowiem jest pornografią w n-potędze.

— — — — — — — — — —

— — — — — — — — — —

Pani El grała z pewnym przestrachem, podkładając wprost tony pod tryumfalny marmur przewijającego się ciała.

A grała na ksenorfiku Rolliga, fortepianie o akcentach gitary i harfy, dających pogłos akordom, przeciągły, zagadek pełny.

Po walcu Sibeliusa zarzuciła pani de la Serre płaszcz z soboli na nagie ciało i zaczęła tańczyć Intermezzo Mussorgskiego.

Gięła się i wiła niepokalana biel jej linii w tej złoto-brunatnej sierści zwierzęcia, z precyzyą jakąś szatańską, z porywami jakiemiś obłąkańca trzymanego na uwięzi, z czajeniem się pantery, która może nogi poliże widzom, a może skoczy im do gardła.

Czekało się poprostu w osłupieniu, kiedy ona podniesie swoją wązką twarz ku niebu i zacznie wyć, kunsztownie, z posępną brawurą, coraz groźniej, przejmując dreszczem słuchaczy...

Nawet buldogi wyczuły realizm tej plastyki, bo najeżyły się raptem, złe i niespokojne.

Lecz pani de la Serre zrzuciła nagle futro.

Ciało jej rozedrgane, prześwietlone dźwiękiem, sztywniało w jakiś ornamentacyjny fresk, równy, chłodny, klasyczny.

Ze stołu wzięła złotą gazę i przewiązała sobie nią oczy — może dla tych słów Maeterlincka:

Les filles aux yeux bandés
Otez les bandeaux d'or
Les filles aux yeux bandés
Cherchent leurs destinés...

Wówczas uderzyła pani El pierwszy takt Debussego *„Et la lune descend sur le temple qui fut"* i rozpoczął się nowy taniec — nie taniec: skandowanie tylko nieuchwytne, przesuwanie się linii zdobniczych, bardziej architektonicznych niż malarskich.

Doprawdy wszystkie style zdawały się odżywać w niej, wszystkie kombinacye, jakie kiedykolwiek człowiek zakuł w marmur swoich domów i swoich świątyń.

Czasem oplatały się jej ręce w liście winogronowe, renesansowe, aby za chwilę opaść wzdłuż ciała, prostolinijnie, jak na doryckiej kolumnie — kadencya plagialna wyryta w kamieniu — to znowu wzburzały się jak wichrem porwane, tworząc fałdzistą, powyginaną, barokową symfonię. I znowu martwiały w chłód i strzelistość gotyku.

A nad tą fantazyą kamienną świeciła ciągle blada, zagadkowa, nieruchoma twarz, przecięta złotą gazą.

— — — — — — — — — —
— — — — — — — — — —

Ginęły tony rzeczywiste, ginęły ruchy rzeczywiste, zacierała się biała wibracya na przydymionem tle makaty — — —

zamierał szept poza muzyką, poza tonem będący, i to echo, które odpowiada z zaświatów ludzkim porywom ku zaświatowemu Pięknu — zawieszała się nawet w nas ekstaza — — —

Wizye goniły się. Ritta Sachetto, która tak przedziwnie poznała duszę draperyi — Loïe Fuller, która stworzyła serpentynę — Fanny Essler, która stworzyła cachuchę — Ruth St. Denis, co wskrzesiła ducha starych Indyi i biedna La Guimard, której Czas jedynie nogi oszczędził, tak, że tańczyła przy spuszczonej do pół kurtynie, żegnając teatr, aby publiczność tylko boskie jej nogi podziwiała, na twarz zgrzybiałą nie patrząc...

No i Polaire, licho zwodne, chochlik, pełen okrucieństwa, błysk piorunu, trzaśnięcie pejcza, dziwaczna łodyga nadpowietrznej orchidei, na puzzolanach żyjącej, gardzącej ziemią i sokami ziemnymi... No i tamte — poza burżujskiemi pannami Wiesenthal — tamtych cała

armia na jednej nodze wirujących, w trykotach... Zambelli, La Camargo, Truhanowa — — — Wszystkie gromadziły się, aby stworzyć ten jedyny surrogat duszy helleńskiej, zbratanej z duszą Europy nowoczesnej — — — Taniec pani de la Serre.

— — — — — — — — — —
— — — — — — — — — —

Do wtóru gwarzyła w dali Nizza swym lekkomyślnym kontraltem.

Przez ogromne okna, poroztwierane na oścież, buchała nieprzerwanie arya morza, zgłuszona, skrzepła, kołysząca do snu muszle i korale — tak cicha, jak śpiew kobiety, która poprzez swój śpiew chce usłyszeć coś niezmiernie ważnego, na co czeka i w czego przyjście niezupełnie wierzy — — —

wpadał twardy chrzęst liści palmowych,

potrząsających w ogrodzie swe teatralne pióropusze — — —

bił słabo grad kwiatów pomarańczowych, spadających na murawę i coś dźwięczało, grało, chichotało, śmiało się — brzęczeniem złota, zgrzytem drobnych ząbków zębami szukanych, chrzęstem jedwabi, dreszczem klejnotów, szelestem rzęs kobiecych — — —

Powietrze składało się nie z azotu, rzekłbyś, nie z tlenów i kwasów węglanych, ale z polichromii jakiejś metafizycznej, z tonu przejrzystego nawskróś, jakgdyby biła dziecinna ręka w chińskie tam-tam, okolone szczerozłotymi dzwonkami, przepych radżów w tohach i woniach, co szły od tej nocy, od tego morza przeczuwanego, od tego bezsennego miasta, od tych ludzi, którzy tam, za oknem, daleko — purpurowe usta całowali, rozplatali puszyste włosy, elektrycznością naładowane, gonili wytworne laleczki w toaletach od Paquina i rzu-

cali złotem na stoły, na tace, na podłogi, na dywany — — — Klisze astralne, nie rzeczywistość.

Pani de la Serre skończyła tańczyć, trzymało nas jednak skupienie, jak kurcz trzyma mięśnie, tylka markiza de Clinchamps obojętnie patrzyła przez okno, a marokanka śledziła brata swemi złowrogiemi, prowokującemi oczyma.

— I pomyśleć, że to wszystko razem pierwszym lepszym chodometrem da się zmierzyć — rzekła wreszcie sucho. — Jak matematyk jeden wyrachował, przeciętny walc równa się kilometrowi drogi, kadryl — dwom kilometrom etc. Pocóż ta emfaza dla reklamowania zwykłego ćwiczenia kończyn, od którego wyższy już w pożytku hygienicznym, chociażby system Müllera?!

IV.

SERCE FARAONA.

Co między sobą króle poczną, lub co leży
Upowite we fałdach, na kolanie bogów —
Tego się wywiadywać nie jest rzeczą moją...

(Norwid: „Kleopatra").

IV.

SERCE FARAONA.

Jest to fakt zupełnie wiarygodny, że Madame, córka królewska, bawiąc się z jedną ze swoich służących, spojrzała na jej rękę i policzywszy palce, zawołała:

— Jakże to, więc i ty masz pięć palców, tak samo, jak ja?!?!

I aby się upewnić, przeliczyła je jeszcze raz. *(Chamfort).*

Oprócz ksenorfiku Rolliga, miała pani de la Serre rozmaite monokordy, virginale, klawicyterye, giraffenfluegle i terrassenklawiatury, ale najciekawszy wśród tej kolekcyi był fortepian krzemienny, unikat, kupiony u pana Baudre.

Trzydzieści lat pracował nad nim pan Baudre.

Dwuoktawowy ten instrument składał się z kawałków krzemieni, których ton tylko od polerunku zależał, nie zaś od wielkości, ani kształtu bryłek.

Najmniejsza skaza na kamieniu czyni ton wyższym lub niższym, dlatego obok brył, ważących po cztery klg., znajdują się bezpośrednio malutkie krzemieńce po 500 gramów.

Pani de la Serre nazywała grę na tym instrumencie: „muzyką przedhistoryczną“ i istotnie w tonach tych prymitywnych, rubasznych, pozbawionych wibracyi i ciągłości, leżała jakaś dusza przedhistoryczna, dusza dzikiego człowieka, czyhającego z toporem kamiennym na dzikie zwierzę lub na drugiego dzikiego człowieka.

Nissâ, odporna na wszystko, co spotykała w Europie, wpadała w trans, gdy odezwał się burzliwy, twardy, klekocący akord krzemiennego fortepianu. Zmysłowe jej nozdrza rozdymały się i wchłaniały dźwięki, jak woń, a usta, pozbawione zalotności, jednakże wschodnią namiętnością nasiąkłe, drgały raz po raz.

Nawet El-Glaouï, zeuropejzowany już nieco, popadał w zadumę, jakgdyby ton ów przestał

mu może być swojskim, ale jakgdyby niósł reminiscencye bogate i miłe.

Czarne jego brwi, przecinające jego czoło, jak jedna linia, od skroni do skroni, falowały pod naporem myśli, a oczy, które miał i tak ludożercze, stawały się jeszcze bardziej nieokiełznane, zadziwiając wprost, że pośród nas, Europejczyków, nie patrzą z poza tęgich krat, jeno z wolności. Wstawali, prostowali się. Nissâ, wysoka i rosła, górowała nad nami wszystkimi, pod swoją barbarzyńską, oksydowaną koroną włosów. Oczy koloru *bleu d'enfer,* „dwa otwory w kałamarzu“ (jak mawiał o oczach swej kochanki ksiądz Murtola), patrzyły złowrogo i prowokująco na nasze drobne, wykwintne sylwety, a usta lśniące jak z kermesu, nie uśmiechały się nigdy.

Europa nie była godną ich uśmiechu.

Cała rodowa i plemienna duma burzyła się w niej, gdy jej brat interesował się żywiej czemś

europejskiem, co było w niezgodzie z pojęciem piękna i zwyczajami ich kraju.

Poszła za nim na Sorbonę z dalekich, zapadłych *duarów,* gdzie miast domów, namioty z koziej sierści.

Choć rodzona jego siostra, zaręczona była z nim od kolebki, jako jedynie godna jego książęcej łożnicy. Kochanek mógł mieć, ile chciał, ale żoną jego, tą pierwszą, tą, do której służba zbliża się na klęczkach, mogła być tylko ona, ostatnia po kądzieli z ich książęcego rodu Uasanich, jak ostatnim po mieczu był on.

Przyszła za nim jako straż milcząca i bezpardonowa, niedopuszczająca najmniejszych ustępstw na rzecz Europy. I cierpiała z zaciśniętymi zębami, patrząc, jak powoli wsiąka kultura europejska w żyły jej brata, co zresztą było tylko pozorne.

Czego się ona nauczyła na kursach Sorbony? nie wiadomo. Długoletni pobyt w najkulturalniejszej stolicy świata nie zmienił jej w niczem. Zdjęła tylko zasłonę z twarzy, swój marokański pas brokatowy, swoje trzewiczki berberyjskie, w których tylko palce się mieszczą, pozatem nic się w niej nie zmieniło.

Zastawaliśmy ją w domu, siedzącą na podłodze i pijącą herbatę, ów narodowy trunek marokański, przyrządzany w dziwny sposób, bo gotowany z miętą. Jadła przy tem placki, miodem nadziewane i smarowane grubo jaknajstarszem owczem masłem. Czasami zastawaliśmy ją nad skorupami z ostryg i wnętrznościami kur (koniecznie czarnych), z których wróżyła przyszłość sobie, bratu i znienawidzonej dynastyi Tafilatet.

Żyła samotnie, rzadko do nas przychodząc. Obsługiwała ją czerkieska, w długie *hamum* przyobleczona, kaszląca lub naprzemian śpiewająca monotonne marokańskie pieśni, do hiszpańskich podobne. Do wtóru brząkała w struny

uta, albo przesuwała ziarnka *teshiby* — różańca, służącego w haremach i do modlitwy i do bezmyślnego zajęcia rąk. (Tak, jak u katolików). Meste-Alem oblewała się wodą fiołkową, o woni tak intenzywnej, że całe podwórze „marokańskie" pachniało fiołkami.

Mają one swoją historyę, te fiołki.

— — — — — — — — — —
— — — — — — — — — —

Meste-Alem służyła przed laty u starszej córki sułtana tureckiego: Zekkie. Była raz zabawa w haremie Abdul-Hamida, była na niej i Zekkie, popisywała się na niej i Alem, w skromnej szacie niewolnicy. Na pojęcia wschodnie wydawała się brzydką, bo szczupła była, wysoka, o malutkich piersiach dziewczynki i brwiach, cienkich jak włos. Lecz Abdul-Hamid, jeden z pośród panujących Wschodu, lubił smukłe

i wątłe dziewczyny. Nazajutrz tedy posłał dwóch eunuchów z wspaniałą karetą do Zekkie i rozkazem, aby wydała natychmiast Meste-Alem.

Wsiadła Alem do karety, oszołomiona i pół żywa. Wykąpano ją na gwałt, ubrano w brokaty i jedwabie, polano fiołkowym olejkiem, ulubionym przez Padyszacha. Walida-Sułtanka przez cztery dni wpajała jej zasady form dworskich i po czterech dniach puszczono ją do komnaty monarszej.

Ale — — — nie wiadomo, co się stało? Czy minął kaprys sułtana? Czy czerkieska wyglądała gorzej w brokatach i jedwabiach, naszpikowana nauką o formach dworskich, niż ta dziewczyna wiotka, tańcząca sennie w niewolniczych szatach? nie wiadomo.

Dość, że sułtan zmarszczył tylko swoje straszne brwi, ujrzawszy ją, i rzekł szorstko:

— Nie ta. Odwieźć ją.

I odwieziono ją, a raczej odprowadził ją

do Zekkie jeden murzyn, który całą drogę na znak nieposkromionej uciechy gwizdał przez palce, chwytał się za brzuch i aż zanosił od śmiechu [1]).

Potem Meste-Alem dostała się do obecnej swojej pani.

Zdarzenia jej egzystencyi skraplały się w niej coraz bardziej w bolesną apatyę. Apatycznie tedy wykaszliwała dzisiaj resztę płuc, umierając z obrażonej miłości własnej, czy też z tęsknoty za... sułtanem, który lubiał wiotkie dziewczęta, fiołkowy olejek i przemijające miewał kaprysy.

Na to był przecież sułtanem.

— — — — — — — — — —
— — — — — — — — — —

— Czy ty się nie boisz łączyć węzłem małżeńskim z rodzonym bratem, co przecież nauka

[1]) Dzieje Meste-Alem autentyczne.

nasza wykazała jako zgubne dla rasy?—spytała raz marokankę pani El.

— Nauka *wasza!?* — powtórzyła Nissâ z lekceważącą pogardą. — Że przez łączenie się w rodzinie zwiększą się nasze wady i cnoty? to i cóż? Będzie wszystko podniesione do kwadratu może, ale będzie znowu ekwiwalent, bo wzmogą się i cnoty i wady.

— A jeśli tylko wady się wzmogą?

Nissâ obróciła wolno swą piękną, barbarzyńską głowę ku nam i rzekła, wzdymając nozdrza:

— Nie szkodzi. Nawet wady nasze są piękne.

— Harda ty moja—odezwał się El-Glaouï, a ona, objąwszy rękoma kolana, zaczęła mówić głosem, podobnym do tego *hululu* kobiet arabskich, którem one witają ukazujące się w dali mury świętej Mekki.

— — — — — — — — — —
— — — — — — — — — —

— Dlatego wasze Państwa w łeb biorą, że nie umieliście wmówić podwładnym waszym, iż to, co jest u podwładnego zbrodnią, godną szubienicy, to u władcy byłoby co najwyżej... kaprysem.

Tron dziedziczny powinien być murem od świata odgrodzony, niedostępny ani ludzkiej krytyce, ani ludzkiemu sądowi. I ta jego niedostępność powinna być aktem międzynarodowym zastrzeżona.

System monarchistyczny wyobrażam sobie jako matę bambusową, wzniesioną na złotych słupach i szczelnie osłoniętą, po której władca raz do roku przechadza się kilka minut, podczas gdy hołota w adoracyi klęczy pod matą, szczęśliwa do niebywałych granic, gdy poprzez szpary maty dojrzy piętę królewską.

Nie w Mekce jest pępek świata, ale w każdym władcy jest on dla jego poddanych; tak być powinno, inaczej stokroć lepiej odrazu ogłosić Republikę.

Niema tu kompromisów.

Albo bezwzględny, ślepy, ogłupiający fetyszyzm, albo... albo... republika. Konstytucye, autonomie, to śmierć etyczna, bo etyka może tylko polegać na pojęciu Władzy.

Katolicyzm, podpierający trony, zadał im właściwie cios okrutny, bo w tronie powinno się ześrodkowywać wszystko, tak kult polityczny, jak kult religijny. Samo *pomazanie* sakramentalne, jest za małym *prestige'em* religijnym. „Panujący“ powinien był zostać bogiem, tak, jak nim był dla świata starożytnego i jak nim jest dla wielu ludów wschodnich i afrykańskich.

Zadyszała się, mówiąc spiesznie i hardo.

— Jakie to dziwne, iż wy tego nie pojmujecie, Europejczycy, że gdy leży człowiek na szynach i nadejdzie raptem pociąg, to nie wstrzyma on maszyny, choćby był rzymskim gladiatorem, a ręka dziecka może ją wstrzymać w sekundzie, gdy jest u steru... Pochwalona

niech będzie ręka chociażby dziecka, która jest u steru... Czyż wy tak prostej rzeczy nie rozumiecie?!

— Owszem — rzekł d'Espagnac — tylko myśmy tę alegoryę inaczej obrócili. Oto wydobyliśmy z niej naukę, iż represalią doraźną i choćby najgwałtowniejszą, nie uczyni się nic, tylko naciśnięcie odpowiedniej sprężyny może dać rzeczy bieg inny. Przedstawicielami zaś doraźnej represalii byli autokraci, i dlatego... wyrzuciliśmy ich za drzwi.

— Mówiłabym — przerwała Nissâ — ale...

— Mów, młoda pantero — rzekł pobłażliwie d'Espagnac, lecz marokanka odwróciła twarz ku oknu — i nastrojowy był to ruch, gdyż okno dawało widok na zachód, a na zachodzie właśnie kładło się słońce, wzniecając pożar w barbarzyńskiej, oksydowanej koronie jej włosów.

Patrzyliśmy w nią jak w piękne zwierzę, zachwyceni jej cudnie uformowaną szyją, wtoczoną jak granit w sklepienie ramion i piersi, tylko mała Luce de Clinchamps spokojnie szkicowała głowę szeryfa, zwróconą również ku zachodzącemu słońcu.

Miał on wstręt atawistyczny do fotografii i portretowania, ale małej Luce wszystko było dozwolone. Więc rysowała cicho i bez przerwy. Szmer ołówka jednakże irytował Nissę. Spojrzała swemi złowrogiemi, prowokującemi źrenicami w dziewczynkę, jakby jej coś rzucić zamierzała między oczy, lecz w tej chwili wróciła do swego ulubionego tematu.

— Wyście kiedyś znali wyższość kastową — rozpoczęła na nowo — ale nie umieliście jej strzedz i hodować.

Opowiadał mi Flavencourt, wnuk jednego z markizów, który czekał na gilotynę w *Conciergerie,* że zamknięta tam była z nim i księżna Monaco. W przededniu śmierci, trzy razy dziennie, zmieniały toaletę, ona i inne z nią za-

mknięte panie, a gdy wchodził jaki urzędnik, co było przecież zawsze wyrokiem śmierci jednej z nich, żadna z pań nie bladła — rozpalały tylko kadzidło, gdy wyszedł, aby wykadzić „chamski odór".

Naprzeciw celi księżnej Monaco zamknięty był piekarz Cortay, a że wówczas świat przewracał się do góry nogami — piekarz posyłał księżnej pocałunki jak mógł najczęściej.

Księżna dziwiła się naturalnie demencyi tego człowieka i patrzyła na te pocałunki, jak na zjadanie np. nożów przez waryata, ale gdy ostatecznie zgilotynowano go 17 czerwca, rzekła do markiza:

— No, przecież nawet tak haniebny rząd umiał stanąć w obronie dostojeństwa.

— Jakto?! — spytał zdziwiony markiz.

— Wszakże stracono tego piekarza, który się ośmielał mnie pocałunki przesyłać... nie?

I najgłębiej była przekonaną księżna Monaco, że Cortay został stracony za znieważenie jej swymi pocałunkami.

— Władców przedewszystkiem powinniście byli chować odpowiednio. Dzieciom królewskim powinniście byli dawać ucięte łby rebelizantów, miast piłek do zabawy — niechby nawykły od młodu do okrucieństwa i zimnej krwi. Wyście chowali *dauphinów* waszych jak się baby chowa, i dlatego w Europie byli królowie tacy, którym poświęcane głowy motłoch ucinał. U nas inne dawano dzieciom królewskim zabawki, inne pokazywano im obrazy.

Macie ostatni numer *TERRE PROMISE?*

Podałam go jej nierozcięty. Wyjęła więc długą szpilkę platynową z krawata i rozcinała numer powoli.

W szpilkę tę patrzył chwilę kaid marokański, wreszcie rzekł:

— I jeszcze jeden urok ma Wschód, oprócz fabrykowania zabawek dla dzieci królewskich.

Oto kobieta wschodnia tej antypatycznej broni nie posiada, którą posiada europejka, mianowicie... szpilek w toalecie.

Tymczasem Nissâ rozcięła numer i bez żadnych komentarzy zaczęła głośno czytać feljeton:

PAN.

Nie było Pana.

Rozglądała się jak spłoszone zwierzątko, malutka w tej ogromnej sali, podobna w swej żółtej sukni do jesiennego liścia, który się od drzewa oderwał i padł, przyniesiony wiatrem, na białą podłogę *triclinum*.

Poprzez żółtą, świąteczną tkaninę połyskiwało jej ciało jak słoniowa kość.

Przepaska czołowa, ruszona brwiami, zsunęła się tuż nad oczy, dając im jakąś bajeczną wyrazistość i tworząc pyszny ton ze źrenicami, które miały barwę palonej kawy, barwę niektórych odmian nasturcyi.

Włosy, sztucznie wiązane i plecione, wiły się ogromnymi warkoczami po ramionach, wynurzających się nagłą, oślepiającą białością z brzegów tuniki.

Twarz była przeciętna, twarz dziecka, o liniach jeszcze niewykończonych, niezaostrzonych, miękkie, jasne, młode.

Spojrzała na drzwi prawe, spojrzała na drzwi lewe i miała już ruszyć z miejsca, gdy nawprost jęło iść dwóch niewolników.

— Gdzie idziesz? — spytał szeptem wysoki, rudy drab.

— Do Pana.

— Wołał cię? — spytali obaj.

Potrząsła głową.

— Nie? ...Więc jakże?! — zdziwili się.

— Wiecie, że wczoraj Pan zakończył sprawę z prokonsulem o to, że mnie zbił prokonsul na ulicy. Muszę Panu podziękować, iż mnie bronił tak zażarcie, tyle miesięcy, żądając zadośćuczynienia!

Szczera, entuzyastyczna nuta brzmiała w jej głosie, ale niewolnicy nieufnie na nią spojrzeli.

— Tfy! — rzekł Bezręki. — Chyba, żeś zauważyła, iż Panu nietylko o jego własność chodziło, ale i o twoje ścierwo różowe...

— Ale!!! — zawołała oburzona.

— Nie?! — roześmiał się Rudy. — No, to idź i przygotuj się na rózgi, albo i na coś gorszego.

Poszła dalej i przemyśliwała nad tem, co mówili niewolnicy.

Nie rozumiała słowa WŁASNOŚĆ, ona, która nigdy nic swojego nie miała.

Skradała się coraz wolniej, pełna niejasnego przerażenia, nadsłuchując własnych kroków, które biły, zdawało jej się, z szalonym łoskotem o biały marmur podłogi.

Szła jak kot w miękkich, świątecznych, złoconych sandałach, a za nią smuga olejków heliotropowych.

Nogi załamywały jej się nietylko w kolanach i kostkach, ale miała wrażenie, że wyginają się całe jak galareta, a w uszach szum dudniał uporczywy.

Nagle odsunęła się jakaś kotara, i stanął przed nią Pan.

— Kto cię wołał? — spytał chłodno.

Dziewczyna zwaliła się do jego nóg.

— Przyszłam ci podziękować, Panie, żeś mnie... żeś mnie...

— Żeś co?

— ...Żeś się o moją krzywdę tak długo prawował... o mnie...

— O CIEBIE?! — rzucił Pan szczególnym głosem.

Nie śmiała powiedzieć: *tak*, więc tylko głową skinęła pokornie.

Przez chwilę poruszały się jego patrycyuszowskie nozdrza, jakby wdychiwał woń tego młodego ciała, klęczącego u jego kolan. Szybko

przejrzał linie dziecinne, szyję niewidzianie gładką i wpuszczoną liliowymi tonami pomiędzy ramiona — oczy duże o krótkich, gęstych rzęsach i barwie nasturcyi — i przymknął powieki.

Despota wziął się za bary z człowiekiem, którego żądza owiała wichrem nagłym.

— Więc myślisz, żem się o plecyki twoje upominał, które ktoś śmiał rzemieniem przeciągnąć?

Mówił nawpół drwiąco, ale mniej ostro, dlatego śmielej głowę podniosła i rzekła:

— Tak.

— Tak?! To się mylisz. Upomniałem się o własność MOJĄ, o prawo moje bezwzględne do ciebie. O nic więcej.

Zapadła cisza. Strach jakiś powiał nad głową dziewczyny. Nie rozumiała jego przyczyny, ale miała ochotę porwać się i uciekać poprzez długie korytarze na oślep.

Tymczasem Pan nachylił się ku niej i wziął

ją za ramiona. Zabolały ją palce jego, cienkie a muskularne, które wpite w jej ramiona, podnosiły ją z ziemi.

Pospiesznie zerwała się, a Pan objął ją jeszcze brutalniej i — twardo, zimno jął całować jej kark.

Całował coraz silniej, wreszcie uczuła dotknięcie jego zębów i ból. Kąsał tak samo zimno, aż dojrzała, że krew spływa po piersiach na drobne palce.

Gdy się ocknęła z rozkoszy śmiertelnej, usłyszała, jak dzwoni w dali woda o marmurowe cembrowanie.

— Wstań — rzekł krótko Pan.

Wstała odurzona, usta mając pełne krwi i szyję pooraną zębami.

Wówczas Pan uderzył mocno pałeczką w blachę złoconą, którą dwa fauny z bronzu trzymały.

Patrzył w dziewczynę, jakby rachował rubiny, płynące po żółtej, świątecznej jej tunice, a gdy wszedł na uderzenie blachy dozorca niewolników, rzekł:

— Ta dziewczyna przyszła do mnie niewołana. Ta dziewczyna ośmieliła się sądzić, że ja jej skóry broniłem, którą naruszył prokonsul. Ta dziewczyna nie ma pojęcia, co jest Pańska Własność i co przywilej Władzy. Za to musi być ukarana, aby się to nie powtarzało wśród niewolników i aby wiedzieli po wsze czasy, co jest WŁASNOŚĆ i WŁADZA.

Zwrócił się napowrót do dziewczyny, która pod perłami swojej krwi czekała, raczej osłupiała niż przerażona i dał znak jakiś ręką dla niej niezrozumiały.

Dozorca posunął się ku niej wtedy i — drobne rany, które miała na szyi, uczynione zębami Pana — połączył nożem w jedną wielką

ranę, poczem bezpośrednio głowa dziewczyny poleciała w tył, bez szmeru.

Tak jej wytłómaczono pojęcie WŁASNOŚCI i WŁADZY.

— — — — — — — — — —

— — — — — — — — — —

Nissâ złożyła numer dziennika i rzekła:

— Napisała to pewna moja znajoma, której owo wspomnienie z dziecinnych moich lat opowiedziałam. Ubrała je w szatę niezupełnie zgodną z rzeczywistością, ale fakt jest prawdziwy. Patrzyliśmy dziećmi, Glaouï i ja, na tę scenę, bowiem okna naszego pokoju wychodziły z pierwszego piętra na salę, która do komnat naszego ojca prowadziła i tam się właśnie odbył doraźny sąd nad ową niewolnicą, która nie wiedziała, co jest WŁASNOŚĆ i co jest WŁADZA.

— *Comme c'est votre joie, o frâgiles poupées!*

Car vous avez toujours aimé naivement. Les joujoux flamboyants et les têtes coupées... — zaczął deklamować d'Espagnac.

— I jeszcze inną rzecz widziałam — ciągnęła dalej Nissâ — ja i narzeczony mój, ale wtedy nie byliśmy już dziećmi.

W Kairze, w pewnej sali medycznej, wykładowej, leżał przedmiot na stole wiwisekcyjnym. Miał może 8 ctm. długości i 4 ctm. szerokości. Patrzyliśmy ze wzruszeniem, gdy zbliżał się doń profesor — przedmiot ów był bowiem sercem Ramzesa II.

Doprawdy, nawet ten europejczyk był wzruszony i ręka mu drżała, gdy ją położył na serce Faraona.

Bądź co bądź serce to biło 3000 lat temu, jak grzmot, w królewskiej piersi jednego z największych monarchów świata.

Profesor dotknął serca skalpelem, okazało się jednak, że było z masy twardej jak granit. Wszystkie pętlicowate mięśnie, wszystkie fałdy wsierdzia, wszystkie komórki i ujścia tętnic były z kamienia. Wziąwszy piłkę, zaczął tedy profesor wykładać, że pod mikroskopem, gdy na dość cienkie płyty przepiłuje serce Faraona, spostrzeżemy na niem te charakterystyczne fibry muskułów, wiązane na krzyż, które tylko w sercu się znajdują i języku — że skamieniałość nastąpiła pod wpływem węglanu sody, używanego do balsamowań przez egipskich kapłanów.

Był europejczykiem ten profesor, więc tak mówił, a myśmy się uśmiechali do siebie, Glaouï i ja. Wiedzieliśmy bowiem, że to serce Ramzesa i 3000 lat temu było twarde jak kamień, albowiem było sercem prawego monarchy.

— Tak — rzekł krótko i dumnie El-Glaouï.

— — — — — — — — — —
— — — — — — — — — —

Tyle hardości, tyle pychy, tyle wschodniej fantazyi, tyle gromowładnej poezyi leżało w słowach tej barbarzyńskiej dziewczyny, że nie zaprzeczaliśmy jej, skupieni i zapatrzeni w ogień jej prowokujących, złowrogich oczu.

Ale poruszył się Ove Falsen, umysł wiecznie kontrujący:

— Szeryfie! a wiesz ty, ile jest wart człowiek pod skalpelem, chociażby był Faraonem lub Napoleonem Wielkim?

Tłuszcz przeciętnej miary człowieka wart około 12 fr. — jak obliczył ostatnio pewien Francuz — cukier nie napełni nawet miernej cukierniczki, sól miernej solniczki, wapno nie pobieli nawet czterech ścian kurnika, fosforu nie starczy na 1000 sztuk zapałek, magnesium na średnią przeczyszczającą dozę, słowem, Napoleon np., ważący 70 klg., nie przedstawiał większej wartości, jak 35 fr. To samo akuratnie

wart twój służący, Kaidzie, co Ramzes II i co Napoleon Wielki.

— *Pokażęć, gdzie się kończą te imperya świata i zadziwiona będziesz, że tak blizko* — mruknęłam. — Och tak, księżno Uasani!

Płomień padł na mnie z pod rzęs marokanki, ale rzekła jakby w zamyśleniu:

— A jednak drżała ręka temu europejczykowi, gdy ją kładł na sercu Faraona...

V.

SYMFONIA KROPEL DESZCZOWYCH.

Przypadek, który stworzył człowieka, może powtórzyć się jutro.

(Rémy de Gourmont: „Fizyka miłości").

V.

SYMFONIA KROPEL DESZCZOWYCH.

Wołałem Cię dawniej już — pisał on — *ale cicho, bo dusza cicho woła, sama będąc cicha i przytajona. Dziś krew moja Cię woła, głośno, burzliwie, tyranicznie... nerwy moje miotają się... ambrozya zmysłów szumi i wre.*

Musimy się spotkać, królewno zórz dalekich, muszę Cię ujrzeć, jak człowiek człowieka, za blizkaś mi już, zanadto żyjąca we mnie.

Pani moja wiotka, z anemonami w ręku miast sceptru — jaką koronę masz? Żadnej! prawda, że żadnej, Monarchini młoda? że starczą Ci za koronę królewskie włosy Twoje, których pasmo przysłałaś mi między dwoma płatkami białej begonii?

Cudne mi rzeczy pisały te złote włosy na dwóch płatkach białej begonii! List najpiękniejszy, jaki człowiek odebrać może — ale odczytać go nie ważyłem się. Sfinks musi tak patrzeć w mijające go karawany, jak ja w te litery Twoje złote patrzyłem: zanim dojrzy prawdę, one go miną. Wiesz, Dziewczynko, że włosy Klary-Damianki trzymał Franciszek z Assyżu do śmierci w celi swojej — długie, puszyste, pachnące, złote warkocze, jak Twoje, że nurzał w nie twarz swą ascetyczną, rozmodloną — do nich się modlił.

Jak myślisz, Biała Mniszeczko Świątyń moich, możnaż całe życie poświęcić jednej odurzającej modlitwie, jednemu bóstwu, które się Pasmem Złotych Włosów zwie?! Możnaż to, Dziewczynko wytęskniona, której sceptr z anemonów, a włosy złote?!

— — — — — — — — — —
— — — — — — — — — —

Czytałam ten list wzdłuż morza idąc, szosą, wiodącą do Villefranche. Wilgotno było. Deszcz padał, drobny, uporczywy, bezlitosny, mącąc niepojęty błękit morza.

Więc on coraz bardziej pragnie, abym doń przyszła, realna, w szacie ludzkiej, ciało żywe, powolne wrzeniu jego krwi?

Wolałabym, aby odłożyło się jeszcze to spotkanie moje z nim. Chciałabym, aby do zenitu doszło we mnie to wołanie o przywilej ludzki dla bezcielesnej dotąd miłości naszej.

Teraz to wołanie zbyt ciche jeszcze we mnie. Rozleniwia mnie kołysanka jego słów, rozsennia mnie daleki poszum naszych pragnień.

Jeszcze... jeszcze czekać trochę... niechaj się rozżarzy stal naszych serc — do białości — do palącej białości.

Poco odganiać to miękkie, nieokreślone, dzwoniące JUTRU w uszach naszych?

JUTRO przyjdzie i tak.

Niechajże stąpa dookół nas czar rzeczy nienazwanych, nazwać jest tak łatwo.

— — — — — — — — — —
— — — — — — — — — —

Za skałą, wyszarpaną morskiemu dnu, siadłam, od deszczu osłoniona i wpatrzona w zmarszczone groźnie morze.

Właściwie nie groźne było, bolesne jakieś raczej, rozedrgane, jak twarz ludzka w płaczu, całe mokre od łez deszczowych.

Doprawdy inna jest mokrość morza, gdy je poora deszcz cienkiemi bruzdami swoich grymaśnych łez.

Nic tak nie halucynuje, jak ten paradoks morza: wiekuista niezmienność w wiekuistej zmienności.

Wązkie, długie pasma omszałej ziemi wpijały się przy brzegu w taflę wodną, rzęsom ja-

kiejś wielkoludki podobne, złośliwemu zmrużeniu jakichś olbrzymich powiek, rękom bolesnym, które protestują imieniem ziemi przeciw straszliwemu indyferentyzmowi morskiej szyby.

Za plecami czułam miasto, efemeryczność ludzkiej społeczności, a przedemną leżała jej antyteza: Nieskończoność — Niezmienność — Wieczność... Bił puls Nicości w tej masie wód.

Obejrzawszy się na szosę, ujrzałam Luce de Clinchamps, idącą w kapturku, obok małego Falsena. Czarny piesek Lucy biegł za nimi.

Szli spokojnie, jak dzieci, i tacy maleńcy wydawali się na błotnistej szosie, wiszącej nad glazurą morskiej przepaści.

Cofnęłam się głębiej w skały, aby mnie nie dostrzegli. Nie pragnęłam niczyjej obecności. Ogarnęła mnie newroza morza, które jest zawsze same. W obliczu ziemi i ludzi, ich starć i walk, morze jest zawsze same.

Kto wie, czy nie nawoływała kogoś samotność moja, ale jeśli nawoływała, to kogoś równie samotnego, jak ja.

— — — — — — — — — —
— — — — — — — — — —

Dzieci zatrzymały się niedaleko mnie. Pospieszny, słodki głos Lucy zaczął dzwonić tuż prawie nad moją głową:

— Widzisz, Eryku, te krople deszczu na telegraficznych drutach? Jest tych drutów pięć, jak na nutowym papierze. Spróbowałam kiedyś stenografować te biegnące po nutowych liniach drutu kropelki i, wiesz, pochwyciłam parę krótkich, dziwnych melodyjek. Jak ze starych tabakierek grających...

Rozmarzają mnie te piosenki, pędzące po pochyłych drutach i ginące gdzieś na horyzoncie. Może zanim te krople dolecą do Eze lub

Mentony, ze staroświeckiego kuranciku, wytwarza się jakaś pieśń heroiczna, potężna, od której drżą słupy?

Trzeba jednakże notować bardzo prędko, bo krople uciekają, jakby zazdrosne o swoją śpiewną tajemnicę.

W tem miejscu słupy stoją prawie równolegle do siebie, więc krople deszczu zupełnie wolno posuwają się po drutach — perły śpiewające — dlatego przychodzę tu, gdy deszcz pada, i przepisuję piosnki deszczowe.

Kiedyś wypadła mi melodya tak charakterystyczna, że zaczęłam jej szukać pomiędzy nutami mojemi — nie znalazłam nic podobnego, dopiero w starym zbiorze szwabskich pieśni popularnych, znalazłam identyczną melodyę do słów:

„Für die Zeit, wo du g'liebt mi hast, da
[dank' i dir schön,
Und i wünsch' — dass dir's anderswo besser
[mag geh'n..."

Zdawałoby się, że nieśmiertelna poezya natury chce nawet to wziąć w posiadanie, co wyłącznie cele praktyczne ma. Nie dziwne bo, że krople piszą w powietrzu, na rozciągniętych do innego celu drutach, melodye już kiedyś ludziom znane, już kiedyś śpiewane, komuś śpiewane, lub czemuś?

— Jakto „czemuś“?

— Myślisz, że smutkowi swemu śpiewać nie można, albo samotności swojej? Wszystkiemu śpiewać można, Eryku, wszystkiemu, co jest i czego niema.

— Pocóż smutkowi śpiewać, poco przywiązywać jakąkolwiek wagę do smutków naszych? Są one chwilą w życiu, a że i życie jest chwilą, więc jakimże ułamkiem czasu będzie rozkosz nasza, lub smutek nasz?! Poco smutkowi śpiewać?

— — — — — — — — — —
— — — — — — — — — —

Umilkły dzieci.

Może Luce wyjęła notatnik i pisała piosnkę kropli deszczowych, goniącą po drutach. W jej głosie piętnastoletniej dziewczynki brzmiał zawsze głuchy żal, gorycz dojrzałej osoby. W głosie małego Falsena natomiast pogoda była, rozwaga i entuzyazm. Miał mądre oczy i jasne włosy ludzi z północy.

— Wiesz, Luce — rzekł po chwili — dziwi mnie, dlaczego studyum o głodzie napisał właściwie jeden tylko Hamsun, a studyum o miłości napisało tylu już ludzi i w słowach rymowanych i nierymowanych. A przecie kto wie, czy nie więcej jest ludzi głodnych, niż ludzi, kochających prawdziwie...

— ...„prawdziwie!“

— O tak, Luce, daję wyraźną nomenklaturę Miłości, nie generalizuję jej zjawy — krzywdzi się to słoneczne uczucie, dając mu miano JEDNO, a przystrajających się w nie aż TYLU...

— Właściwie jedna Kobieta przystroić się w nie może, bo ona jedna przychodzi doń czysta...

— Jakże się cieszę, że pojęcia nasze schodzą się na tym punkcie! — zawołał porywczo mały Falsen — że dajesz Miłości czystość za warunek! Tylko, widzisz, dotychczas nie było czystych kobiet, nie było dziewic, ponieważ żądza w nich cielesna, czy też inne względy, były tak silne, że nie wahały się poddawać swej bierności, czy też zaspakajać swe żądze w brudnych ramionach męskich, prostytucyi oddanych. Nie może być absolutnie czysta ta, która nie żąda kategorycznie absolutnie czystych ramion męskich. Czystość, wchodząca w jakiekolwiek kompromisa z życiem, z popędami natury, z utartymi zwyczajami, z Tradycyą, przestaje być czystością.

— Przecież Natura tak mało dba o cnotę Czystości...

— Nie, Luce! Natura dąży do wydoskonalenia swoich tworów, a zatem dąży do cnoty czystości, która jest udoskonaleniem człowieka.

— Więc znowu całą winę zwalisz na kobietę, która, nie żądając doskonałości od mężczyzny, czyniła go przez to samo tem, czem był?

— Nie, winy są zobopólne i dlatego dziś, chcąc osiągnąć piękne cele, musimy iść znowu zwartą gromadą — kobiety i my — a nie rozjadać się w sprzeczce, które z nas winnem było.

— Tembardziej, że to, Eryku, co w nas było jakoby zasługą, nie było właściwie niczem w kategoryi zasług istotnych — bo że kobieta nie wyzwoliła się fizyologicznie śladem mężczyzny i nie zadowalała swych instynktów, jak on, to nie mówi nic o jej wyższości duchowej i nic o jej roli w historyi Etyki człowieczej — prawda? pominąwszy już zarzut biernej wspólności nawet. Poprostu skrzywdziła ją Natura w tym kierunku, jako że każdy wyskok u niej grozi na-

stępstwem. Mamy więc drogę jednaką do odbycia, jeżeli chcemy coś dla Etyki ludzkiej zdziałać.

— O, gdybyż droga nasza chciała być jednaka...

Potrząsła może głową Luce, bo nie dosłyszałam jej odpowiedzi, natomiast mały Falsen mówił dalej:

— Kto wie, Przyjaciółeczko moja kochana, czy nie w tem szukać trzeba sposobu utrwalania małżeństw, bo że człowiek idzie ku bezwzględnej monogamiczności w ewolucyi swojej, to pewne. Cóż znaczy sakrament? Cóż znaczy prawo?! Rozchodzą się ludzie i tak, jak się rozeszli np. rodzice twoi. Jeśli parę ludzką połączy jedna wartość duchowa, jeśli staną równi sobie do wędrówki życiowej, jeśli tworzyć będą etyczny ekwiwalent, jeśli on jej powie, jak ona jemu, że tylko miłość prawdziwa była dla niego sankcyą stosunków płciowych — to ludzie ci nie rozejdą się tak łatwo.

Nieczystość duchowa mężczyzny — bierna w tem współwina kobiety, jest owem pierwszem oczkiem, wypuszczonem z sieci, po którem pruje się cała sieć — powoli ale pewnie. Niezrównoważenie wartości moralnych, ślepe hołdowanie Tradycyi — oto jedyna klęska stadeł ludzkich.

Przecież targnąć się na majestat dwoistej godności jest trudniej, niż targnąć się na majestat cnoty własnej.

— Tyś się nie zbliżał jeszcze do żadnej kobiety, Eryku? — spytał głos Lucy, trochę nieśmiały.

— Nigdy! — żywo zaprzeczył chłopak. — Mam lat dziewiętnaście, zdrów jestem, tęgi, ciągnęli mnie koledzy do kobiet ładnych i — łatwych, ciągnęła mnie może Tradycya, ta fatalna dusicielka rodzaju ludzkiego — ciągnęły mnie może zmysły — świadom jestem wszakże wszystkiego — ale — zwyciężyłem, Luce.

— Są przecież ludzie z temperamentem

takim, że kochać potrafią szczerze w życiu, kilkakrotnie...

— Cóż to szkodzi, Przyjaciółeczko droga? byle ktoś kochał szczerze, byle nie traktował Miłości jako sportu, jako środka hygienicznego, jako probierza wartości męskiej — byle był CZŁOWIEKIEM a nie SAMCEM, to czystym go nazwę, choćby dziesięć razy w życiu kochał i dziesięć kobiet posiadł. Tak samo kobietę nazwę czystą, choćby się dziesięciu oddała.

Etyka ludzka nie jest tępą okrutnicą... z próchniejących tylko szczątków dyluwialnych wybudowano dla niej paradoksalny Panteon, postawiwszy smoka Tradycyi na straży. Dziełem naszem zabić smoka i z ziemią zrównać Panteony...

— Powiedział ktoś, że dawniej walczył mężczyzna o wolność, kobieta o obyczajność — że zaś dziś walczy kobieta o wolność, a mężczyzna o nieobyczajność — dziwny więc jesteś, Eryku...

— Nie dziwmy się, Luce... Musi być zawsze awangarda dla czegoś, co idzie. Idziemy w awangardzie, ty, choć nieświadomie jeszcze i ja — i otwieramy drzwi dobremu JUTRU na szerokie, jasne przestrzenie, gdzie wszystko będzie, oprócz błota.

A po chwili zakończył mały Falsen:

— Błoto, widzisz, w którem się tarzają ludzie, jest przeważnie łzami rozrobione — nie będzie więc tam może i łez.

— To dobrze. Łzy starał się chrześcijanizm upiększyć, ale nie upiększył — tylko szczęśliwa Ludzkość może być piękna. Chyba jedynie te łzy deszczowe są ładne, które piszą piosnki na telegraficznych drutach. ...Płakałbym chętnie, gdyby łzy moje chciały takie pieśni pisać.

— Ty sama jesteś pieśnią, Luce...

— — — — — — — — — —
— — — — — — — — — —

Umilkły dzieci i zobaczyłam, że odchodzą powoli ku miastu, jakby na spotkanie człowieka, który od miasta ku nim szedł.

El-Glaouï szedł, zawsze z tym niezdecydowanym gestem rąk, które nie mogły nawyknąć do europejskiego rękawa, ciągle szukając głębokich, przepaścistych fałdów *fahashiwy*.

Przedstawiciel tej starej rasy ludzkiej, poddanej zmysłom, poddanej tradycyom — antyteza krzycząca — szedł naprzeciw dwojga dzieci, niosących górnie i chmurnie pochodnię JUTRA.

Zadziwił mnie dyalog podsłuchany — — —

— — — — — — — — — —
— — — — — — — — — —

Och Ty... do którego idę poprzez mgły nieokreśloności, dlaczego nie spytałam Ciebie, zali ręce Twoje są czyste, zaliś nie naginał dziesiątek białych karków kobiecych do kolan swo-

ich — ot tak, dla chwilowej fantazyi, zaliś nie całował tysiąca ust szkarłatnych, zaliś nie trzymał przy piersi setki lalek dyszących... Och Ty... nie pytam.

Idę ku Tobie, milcząca.

Śpi we mnie jeszcze stara rasa, którą odurza haszysz słów miłosnych.

Nie pytam o nic.

Śpi we mnie stara duma tysiącletnia, ta, która nakazywała dawać więcej, niż brać, ta, która też była piękna, w smutnej, żałobnej bierności swojej, ta, którą wygania dzisiaj precz burzliwy hejnał odrodzenia młodego.

Nie pytam o nic...

Och Ty!

— — — — — — — — — —
— — — — — — — — — —

Wstałam i zaczęłam iść jak tamci, ku miastu, a że oni zatrzymali się, więc dogoniłam ich.

— Slama! — pozdrowił mnie El-Glaouï.

Dzieci uśmiechnęły się przyjaźnie.

Słońce jęło pruć chmury ostrym sztyletem i — stało się jasno, miło, świątecznie.

Morze tylko pamiętało jeszcze obelgę deszczowych bruzd i marszczyło się nadąsane i gniewne.

Ty dumne, pamiętliwe Morze...

— Słyszałam waszą rozmowę — rzekłam do Luce.

— A? — odparł młody Falsen, podczas gdy Luce zarumieniła się lekko.

— O czem mówili? — spytał El-Glaouï i uderzyła mnie agresywność jego głosu.

— O ludzkiej parze mówili, przyszłościowej, o zróżniczkowaniu wartości moralnej między nimi, tak, aby miłość ludzka była nietylko rozkoszą, ale i etycznym czynnikiem.

Szeryf machnął ręką wzgardliwie.

— Słyszę o tem zdawna w Europie. Otóż,

a twarzyczka Lucy wyglądała ciągle zaniepokojona z pod szorstkich brzegów kapturka.

— — — — — — — — — —
— — — — — — — — — —

— Może istotnie jesteście jak te paciorki wodne na drutach — rzekłam do małego Falsena — perły, które piszą dziś piosnkę tylko misterną, a w miarę pędu, rozśpiewają się w heroiczną symfonię odrodzenia?

— O tak, pani. Mówiła przecież Luce...

I urwał, bo nagle pośliznęła się ona. Szeryf chwycił ją w pół i stała się twarz jego szara, podczas gdy powieki Lucy przymknęły się — — — nad jaką tajemnicą przymknęły się oczy Luce?...

VI.

LIBELULE.

Przemiana treści i kształtu odbywała się niedostrzegalnie, bez oznak rozkładu i śmierci.

Nie było czasu dojrzewania i owocowania.

Nie było czasu przeżycia i obumarcia.

(St. Wyrzykowski:
„Z północnej godziny“).

VI.

LIBELULE.

Byliśmy wszyscy przed chwilą na karnawale ulicznym nicejskim. Oślepił nas tam blask. Leżała w powietrzu jakaś jaśń wytworna, jakiś połysk złotego jedwabiu, jakiś subtelny chaos barw, nie mających szczególniejszej nazwy, ale przemożnych i chwytających za oczy.

Przytem odurzył nas zapach, bo — zda się — z poza sfer widzialnych, szedł ostry zapach spoconych koni i ludzi, zmieszana woń amoniaku i ziół, a w pobliżu bił odwar kwiatów najwyszukańszych — przedystylowane etery z kamelii i róż, gaszone czasami kadzielną, żywiczną wonią ambry.

Całe miasto w amfiteatr przemienione, wrące ruchomą falą ludzką, drgające, jak jakie wielkie, wspaniałe cielsko jaszczurcze, wydawało się nabite minerałami w tem zadziwiającem, szklistem oświetleniu.

Włosy kobiece — iskrzyk miedzi o popielatych skazach — połyskiwały fosforycznie. Z białych twarzy wychylały się usta, podobne roztartym hematytom, korale zwarte — rubelity...

Duże, poszerzone lub mrużące się oczy, pałały zewsząd, jak agaty, jak wpryśnięte jaspisy, pełne nienaturalnego lśnienia — miejscami błysła ta rzadka, smaltowa barwa, jaką daje szkło z solą kobaltową stopione, miejscami paliły się dwa dyamenty czarne, groźne i twarde, pod klamrą zrosłych brwi — z lóż wychylały się ręce, obciągnięte w rękawiczki, lub nagie aż po łokieć, tak błękitne i przeźrocze, jak chalkantyt, co zbielał cokolwiek na powietrzu.

Szyje łukiem wygięte, dumne... i znowu

włosy... i znowu usta z purpury i znowu oczy pełne lśnień — — —

W falę ludzką wpadała nagle inna fala — luźna gromada — zaprzęgi jakieś bajkowe, potrząsające nasturcyami, cyklamenami, pióropuszami paciorecznikow, eukaliptusów — wbijały się jak trójząb mitologiczny w olbrzymią, jaszczurczą pierś tłumu.

Wprost na widzów szły konie muskularne, krótkogrzywe, w białej topieli storczyków, same białe, tylko o nozdrzach różowych i oczach płonących niespokojnie.

Zasypywano je kwiatami i znikały, wsiąkając w morze kwiatów.

Nikt nie wiedział, skąd się kwiaty brały, kto je rzucał, kto je deptał. Wrażenie było tak materyalne, tak bijące w mózg, w źrenice, w gardło człowieka, że aż z niematerialnością graniczące. Zatracało się świadomość, że ma się przed sobą tłum ciał ludzkich. Ciało ludzkie

nawet, jako określenie, byłoby zbyt niemateryalne w zastosowaniu do tej oślepiającej twardości, do tej bajecznej, przepysznej, wprost krystalicznej jaśni niebywałego amfiteatru, którego terrasy, podłoga i strop były z kwiatów, z perwersyjnej inwencyjności ludzkiej.

Zaklęte to wszystko było w bronz, w klejnot, w metale słońcem topione, lejące się z lóż i ekwipaży na ulicę, skwarem rozżarzałą, pomarańczową od blasku.

Ruch tych mas nie przeczył zupełnie „mineralogicznemu“ złudzeniu, bo ruch wszelki wydawał się tylko bieganiem promieni słonecznych po wypolerowanych, oszlifowanych przedmiotach.

Mieliśmy już odchodzić, gdy wjechały na kwadrydze trzy dziewczyny, całe spowite w lewkonie.

Szorstkiemi gronami spadały im one aż na oczy — oczy tak duże, że zdawały się zajmować całą górną część ich malutkich twarzyczek.

Gestem nagłym, spontanicznym, podniosły ręce do góry, sześć gron kwiatów, z których spływały festony na ziemię, wlokąc się za kwadrygą. Chciały rzucać kwiaty w twarz tłumu, ale na szczęście, przez chwilę, gest ich zatrzymał się, bezcelowy, ornamentacyjny jedynie. Jak trzy posągi stały, które o nic nie proszą, niczego nie żądają, niczem nie grożą, samotne wśród gwaru, obojętne, dalekie, niepojęte.

Raptem dostała jedna z nich pękiem jaskrów w pierś.

Najeżyła się jak lwiątko. Smuga czarnych brwi zbiegła się pod białym wieńcem lewkonii, a ręce podniesione jęły walić kwiatami. Posążki ożyły, złośliwe, przyczajone, ludzkie już. Prysł czar niepojętości, kwadryga odjechała, poszliśmy i my do domu.

— — — — — — — — — —
— — — — — — — — — —

Teraz siedzieliśmy wszyscy, oprócz Lucy i marokańczyków, w pustym, obszernym salonie Ove Falsena.

Nie było w nim ani jednego obrazu, ani jednej rzeźby. Lustra tylko, makaty, gobeliny i znowu lustra — wszystkie możliwe — i te najstarożytniejsze z metali, z czarnych obsidyanów i te późniejsze, weneckie i norymberskie, co się mszczą na człowieku za próżność jego, oddając obrazy w barwie potwornej, mętnej, zatraconej, i te paryskie Lucasa z XVII wieku, odbijające cały szych ludzkiej postaci, świetny, przeraźliwie jasny — no i lustra Ludwików, w ramach giętych i poskręcanych, jakby dłonie kobiece obejmywały miłośnie gładkie tafle, w których siebie widziały.

Widzieliśmy się wszyscy w nich, w załamaniach dziwnych.

Czasem z odległości dwóch pokojów spojrzały na nas czyjeś oczy, blade, zamarłe, do

stojącej wody podobne — czasem ukazała się ręka czyjaś, wydłużona niesamowicie, żółta jak szafran — czasem błysnęły czyjeś zęby w uśmiechu niespodzianym.

Poza lustrami i makatami nie było nic. Puffy tylko na podłodze, pokryte szachownicą futer z białych niedźwiedzi, czarnych panter i lwów. Ani jednego dzieła sztuki w całym domu, tylko daleko, w najodleglejszym pokoju, w nyży, wrzynającej się głęboko w mur staroromańskiemi liniami, klęczał marmurowy, nagi olbrzym, z głową wciśniętą w kolana drobnej, malutkiej dziewczyny. Zastygł w tym ruchu, tak jak zastygł enigmatyczny wyraz na twarzy dziewczyny, czyniąc z grupy dyszącej zmysłowością, coś hieratycznego, oderwanego raczej i symbolicznego.

Ciekawie w tem przeraźliwem oświetleniu wyglądała głowa Ove Falsena. Rysy te były jakby ugniecione z kulek, z *boulettes,* polero-

wanych jedynie później kawałkiem drzewa, na modłę rzeźb Corpeaux'a.

Dokoła niego pełno było zawsze flakonów i pudełek, leków tajemnych, którymi traktował znajomych — co prawda bezskutecznie.

Nie miały między nami powodzenia wszystkie miraculopreparaty Müllera, antiobesitasy i Gedächtnisslimoniady. Bawiły nas natomiast nieskończenie publicystyczne występy Falsena.

Zmysł kontradykcyjny był u niego tak silnie rozwinięty, że gdy przypadkowo wpadł mu do rąk artykuł jakiś, broniący ostrzej pewnej tezy, występował bezzwłocznie z repliką. Zajmował się zaś przeważnie kwestyami religijnemi. Cytował więc nieraz dzieła zupełnie nieegzystujące, świętych nigdy niekanonizowanych, doktorów Kościoła nigdy niedoktoryzowanych i, mimo to, rozmaite Przeglądy Kościelne pomieszczały jego humorystyczne prace.

Burzę śmiechu wywołał niedawno we Francyi

artykułem, w którym polemizował z instytucyami dla nieuleczalnie chorych umysłowo. Żądał mianowicie zniesienia odnośnych szpitali, na podstawie orzeczeń świętej Rzymskiej Kongregacyi, że jeśli lekarze przysięgą stwierdzą, iż żadne lekarstwo danemu choremu nie pomogło i nie pomoże, to można to traktować niechybnie za wypadek opętania — i chorego zamknąć nie w szpitalu świeckim dla nieuleczalnych, ale w celi klasztornej, tak jak czyniono z energumenami w początkach ery chrześcijańskiej, ćwicząc ich biczowaniem i postami, surowo, boć przecież kanon 17, Soboru Ancyrańskiego, postawił ich na równi z trędowatymi i sodomitami[1]). Charakterystycznem zaś było, że w życiu prywatnem Ove Falsen przedstawiał typ najczystszego wolnomyśliciela, odnoszącego się ironicznie do wszelkich wiar, obrzędów, teozofii i lucyferyzmów.

[1]) Powyższe orzeczenie św. Kongregacyi Rzymskiej, oraz wyż wymienionego kanonu, jest autentyczne.

Może wyznawał zasadę Voltaira, że: nie można większej pogardy tym facecyom religijnym okazać, jak biorąc w nich udział samemu.

— — — — — — — — — —
— — — — — — — — — —

Obok niego rysowała się cienko, prostolinijnie głowa d'Espagnaca, o czole ściętem równo i oczach, szukających zawsze ust tego, który doń przemawiał.

Zastanawiała się właśnie pani El nad tym kierunkiem wzroku d'Espagnaca.

— Ileby można powiedzieć o pańskim sposobie patrzenia w interlokutorkę...

— Mów śmiało, Czwarty Wymiarze!

— Gest pański patrzenia na usta mówiącej jest zupełnie naturalny u człowieka, mającego przytępiony słuch, u ludzi jednak tak dobrze słyszących, jak pan, stwierdza to prawie zawsze,

że się dany osobnik kobietami wiele interesował. Erotomaństwo właściwie.

I to właśnie ciekawe, że erotoman interesuje się wzrokowo ustami kobiecemi np., a zetknąwszy się z nią, nie umie ust całować. Omija usta, lub wogóle całuje je pobieżnie i nieudolnie. Dowodziłoby to może poetyczności i czystości pocałunku dwojga ust ludzkich, nie mającego nic z rzemieślnictwem rozrodczem wspólnego. Myśl dalsza o konsekwencyach pocałunku, przy zetknięciu się dwojga ust, musi zaginąć zupełnie. Tylko spojenie swoje powinny wargi ludzkie czuć, o siebie raz oparte — inaczej pocałunek staje się pobieżnym i nic nie znaczącym.

— Bawi mnie, kiedy kobieta chce abstrakt przekładać ponad stronę... praktyczną. W życiu przecież kobieta o wiele więcej ceni stronę fizyczną od moralnej. Nieraz, aby odeprzeć natrętnego konkurenta, chwyta się ona sposobów

podstępnych, udaje przed dotyczącym brak serca, brak wszelkiej etyki, pozuje szczerze na okrutnicę lub wyuzdaną, ale nigdy nie spróbuje podsunąć mu obrzydzającej myśli, że ma zęby fałszywe, liszaj na ramieniu, albo zdeformowane biodro. Dlaczego?

— N-tak... Mądry aforyzm, o tyle, o ile aforyzm o Prawdzie, która wyprzedziła wszelką Mądrość, może być dobry...

— Pani El! wszyscy wiedzą, że kulturę każdego kraju mierzę: KOBIETĄ, nie mężczyzną. Nigdy więc nie próbuję kobiecości obniżać. Wśród antropofagów liczba noszonych kolczyków, piórek, kółek i kółeczek idzie w odwrotnym stosunku do wprowadzanej kultury. I faktem znanym jest, że Nyamnyamczyk zostaje długo z pozoru ten sam, bez względu na wsiąkającą weń kulturę, a Nyamnyamka czemprędzej wyjmuje pióra z włosów i kolczyki z nosa. Zawsze KOBIETĄ winno się mierzyć kulturę.

Jeślim np. opuścił Galicyę, gdzie miałem zamiar dłuższy czas zabawić dla studyów nad polską porcelaną, to nie dlatego, że dostrzegłem, iż pan X. nosi zegarek... w irchowej torebce, ale dlatego, żem spotkał tam kobietę cudną, rasową i mądrą, która oświadczyła raz *en plein salon*, że potrzebuje kwadransa rano, aby się ubrać, i kwadransa wieczór, aby się rozebrać.

Kraj, w którym kobiety cudne, rasowe i mądre nie spotrzebowują minimum trzech godzin dziennie na toaletę, nie może być miejscem zamieszkania dla Europejczyka.

— Słyszysz, Mormonko, ideale rasie nieneandertalskiej, która się trzy razy codzień w morzu kąpiesz, i to bez kostyumu nawet?

— Zato Beatryx kąpie się, ubrana w koronki i klejnoty — odpowiedziała zaczepiona. — Nie pojmuję jej. Kocham morze seksualnem wprost uczuciem. Tak więc, jak byłoby mi nie do zniesienia, gdyby usta kochanego człowieka

przez zasłonę dotknęły moich ust, tak nie zniosłabym dotyku fal morskich przez batyst, czy fular koszuli.

— Kto wie, Mormonko, czy Beatryx nie więcej je kocha — to twoje morze — skoro doń idzie strojna, jak radża indyjski w koronkach i klejnotach?

Beatryx uśmiechnęła się sennie, a d'Espagnac dodał:

— Och tak! kobieta rozkochana ma większą skłonność do przybierania się, niż do rozbierania. Rozebranie jest już w niej refleksem woli samca, aktem fizyologicznym. W poetycznej tajemniczości jej kobiecej natury nie leży ono absolutnie i to jest może jedyną zasługą męską w dziedzinie piękna, że samczą swoją natarczywością wydobył z cieniów Piękno Ciała Kobiecego.

— Dowód jeszcze jeden, że mężczyzna tylko ubocznie może się Pięknu i Dobru przysłużyć...

— ...aby je zniszczyć potem — dokończyła cicho markiza de Clinchamps.

— Zniszczyć? — zdziwiła się pani de la Serre, podnosząc wysoko swe pańskie brwi. — W kobiecie — nie. Czy pani nie zauważyła, jaką mleczną karnacyę i jaki jedwabny naskórek mają kobiety, które się wiele mężczyznom oddają? Mężczyzna jest nam konieczny jako... kosmetyczny środek.

Coś jakby błysk ironii przemknął po zagasłej twarzy markizy de Clinchamps.

— Przypomina mi szminki teatralne ów środek... zalecany... przez panią. W sztucznej gloryi kinkietów wygląda ów szminek bajecznie, z bliżka jest niemożliwy, a w następstwach jest zabójczy. Wracamy więc do mego twierdzenia.

I jęła się uważnie przypatrywać swoim cienkim jak włos pończochom, naciągniętym na nogach, do ostatnich granic wytrzymałości — zali nie puściło które sforsowane oczko?

D'Espagnac pobiegł za kierunkiem jej wzroku i uśmiechnął się:

— ...mniej przykrem jest kobiecie niedowierzać swemu kochankowi nawet, niż niedowierzać swoim... pończochom. Prawda, markizo?

— — — — — — — — — —
— — — — — — — — — —

Markiza de Clinchamps miała w sobie to, co drzewa na jesień. Młode jeszcze i bogate w arcybogate liście, tracą je momentalnie za jednym, jedynym podmuchem wiatru. Tak i twarz markizy, młoda i świeża, przy lada ruchu, uśmiechu lub grymasie, otrząsała się z młodości i krasy. Ukazywała się na niej jesień — smutna, bezpardonowa, tragiczna. I dlatego starała się markiza de Clinchamps utrzymywać twarz w możliwie największej nieruchomości, bez grymasów, bez uśmiechu. Gdy czasem drgnęły kąty jej

warg, zamierały natychmiast w tym geście i długo, jakby w ticku nerwowym, pozostawała zagięta piękna linia jej ust.

Nazywaliśmy ją SALOME, gdyż pod niezwykle przeźroczystemi bluzami i stanikami nosiła zawsze metalowe napierśniki, lśniące kusząco i rycersko na dwóch małych półkulach jej piersi.

Miała być cudną przed laty, gdy ją hucznie do ołtarza prowadził markiz de Clinchamps. Kochała go do zatracenia zmysłów. Kiedy więc przyjście na świat Lucy zdeformowało jej smukłe, dziewicze kształty, które ciągnęły nieprzeparcie markiza, i kiedy markiz rzucił ją i wyjechał w świat z jasnobrewą miss — została jej jedynie nienawiść do córki, dewocya i pasya do gry.

Przed chwilą jeszcze mówiła nam:

— Chyba tylko za czasów Rewolucyi Francuskiej mogła kobieta cieszyć się dzieckiem, gdy

ogłosił edykt rządowy, że kobiety brzemienne nie będą tracone. Ale zresztą?

— Markizo! A przecież Pompejusz wzniósł pomnik dla Eutychis, matki trzydzieściorga dzieci...

— Panie d'Espagnac! I cesarz Adryan postawił na Golgocie pomnik Venus Astarte — w miejsce krzyża, a przecież pokazało się, że ludzie woleli krzyż...

— Przyjdzie czas dla Venus Astarte, markizo...

— Może. Ale nie przyjdzie czas dla Eutychii Pompejusza.

Teraz siedziała zamyślona. Cudne jej ręce zwisały z poręczy fotela, jak płaczące gałęzie różowego clematisu, i tylko złotym, niedyskretnym blaskiem lśniły pod białym fularem, obie półkule jej małych, opancerzonych piersi.

Przypominała mi ona losem swoim: cisankę, ten gatunek motyla, którego samica jeszcze w obsłonkach niemowlęcych oddaje się sam-

cowi i, nie roztworzywszy nawet powiek, rodzi młode i umiera.

— Ot żyjący protest Dziewictwa!!! — mawiała pani El o markizie de Clinchamps. — Jeśli orchideę Schilleryańską sztucznie zapłodnimy — nazajutrz zamknie się ona, smutna i schnąca. I nietylko ona, ale uschną wszystkie kwiaty na jej pniu...

— — — — — — — — — —
— — — — — — — — — —

W bezruchu swoim drzew jesiennych miała jeszcze markiza de Clinchamps i włosy tego koloru, co jesienne liście: rdzawo-złote, nakrapiane na skrętach prawie że purpurą. O jej włosach można było powiedzieć to, co o włosach słynnej ongiś panny Arnould, że są „najbardziej rude z włosów blond".

Wogóle dziwnym zbiegiem okoliczności, wszyscyśmy prawie byli kolekcyonerami i wszyst-

kieśmy miały, oprócz marokanki, włosy jasne. To też nie szczędził nam uwag d'Espagnac. I teraz odezwał się raptem:

— Mogłybyście stanowić wzory mody za czasów pani Tallien, bo za jej czasów było nieprzyzwoitością mieć włosy inne, jak blond.

— Nie lubię tych czasów... — potrząsnęła lokami Beatryx.

— *Petit Crémant rosé,* dlaczego? — udawał zdziwienie d'Espagnac.

— Czasy pani Tallien zabiły najpiękniejsze dzieło ludzkie. Zabiły: koronkę. Wszakże Taillard, najznakomitsza z ówczesnych krawczyń, nie przyszyła ponoś w życiu ani jednej koronki.

— Hańba tobie, Rewolucyo!!! — śmiał się Ove Falsen. — Dałaś wprawdzie Deklaracyę Praw Człowieka, ale zabrałaś człowiekowi koronkę.

Tymczasem pani El załamała ręce, wołając do Beatryx:

— Duszo koronkowa! jakże helleńską jaźń

swoją pogodzisz z faktem, że Grecya również koronki nie znała?! W pieczarach nawet dawnych indyan amerykańskich znaleziono fragmenty czegoś, co możnaby nazwać niemowlęctwem koronki, a cały świat klasyczny koronki nie znał.

— Jednakże koronka idzie w parze z każdorazową regeneracyą kultury, podczas gdy włosy blond, panie d'Espagnac, są dowodem degeneracyi.

— Tak utrzymuje prof. X., dajmy na to. Prof. Y. zaś twierdzi, że oczy ciemne są dowodem niedostatku intelektualnego, albowiem i Sokrates, i Szekspir, i Milton, i Goethe i Napoleon, i Renan mieli oczy... niebieskie.

Wszystkie dowody mają tedy przeczenie same w sobie. Genialni są i ludzie o włosach jasnych, i ludzie o oczach czarnych, i umiera każdy, i ów czarny, i ów jasny. Nawet św. Teresa umarła, mimo iż przez całe życie wmawiała

w ludzi, że tem umiera, iż umrzeć nie może. A zresztą takie dziwne rzeczy, takie drobiazgi, przetwarzają machinę historyi i giełdę ludzkich wyobrażeń, że nic dziwnego, gdy ktoś patrzy na nie przez pryzmat koronek, włosów, czy też barwy oczu. Z chwilą przecież, kiedy Rodin złamał nos swemu słynnemu CZŁOWIEKOWI ZE ZŁAMANYM NOSEM, nastała nowa era dla Sztuki francuskiej.

Pani El uśmiechnęła się łaskawie na dywagacye d'Espagnaca:

— Dobrzeby było jednak, gdyby Historya robiła z podpatrującymi jej ewolucye czynnościowe to, co zrobił Mahomet z sekretarzem swoim, któremu Koran dyktował, pod wpływem jakoby inspiracyi boskiej. Powiesił go przy ostatnim rozdziale. Zapewne, aby nikomu nie zdradził, na czem polega inspiracya boska...

— Powiesiła i Historya niejednego... I myśmy zresztą często a godnie ją zastąpili.

— Ci powieszeni — rzekła Beatryx — to zawsze duchy krytyczne, duchy rwące się naprzód, duchy uskrzydlone. Albośmy winni, że czujemy się bardziej swojsko w otoczeniu czworonożnych, jak uskrzydlonych?

— Proste to i zrozumiałe, malutka Infantko. System pożycia wzajemnego ludzi jest oparty nie na ekwiwalencie poziomów duchowych i etycznych, ale na mniej lub więcej wygodnej możności usuwania tych, którzy bezpotrzebni już, lub zawadzający nam, lub szkodliwi. Czworonożnego trzebaby zabijać pałką, aby się odeń uwolnić — ekspensować sił dużo i przebiegłości — uskrzydlonemu zaś wystarczy skrzydła pourywać. Zabija ich to jak libelule... łatwo i szybko.

— — — — — — — — — —
— — — — — — — — — —

— Libelule!!! — zawołała nagle pani de la Serre, a oczy jej z terraverte (z Wau, która

żółtą farbę daje) zaświeciły jak u żbika. — Czytaliście, co pisał Gourmont o miłości libelul? Te przedziwne słowa o błękitnym, drgającym pierścieniu dwóch ważek, oddających się sobie, między niebem a ziemią? Śniłam o nich, aż mój sen musieli inkarnować Gouldstikkerowie.

Pokazała nam pierścionek roboty tak cudnej, że doprawdy do snu podobnej.

Dwie libelule z błękitnej, niezrównanie cieniowanej emalii, łączyły się półkolami swych korpusów, spazmem miłosnym wygięte, delikatnie modelowane, tak, że nawet ich łapki włochate były, a zwinięte skrzydła lśniły od barw, aplikowanych na złocie, łudząc przeźroczystością. Miało się wrażenie, że Gouldstikkerowie uczynili najpierw puch z klejnotów bajecznych, z brylantów, z szmaragdów, z chryzolitów i lapis lazuli i że z puchu dopiero stworzyli illustracyę do słów Gourmonta, do fantazyi pani de la Serre.

Pierścień przechodził z ręki do ręki, podziwiany szczerze. Zatrzymała się nad nim markiza de Clinchamps i, jakby przypominając sobie nagle coś, mało zresztą ważnego, rzekła:

— Wiecie, dziś w kasynie El-Glaouï poprosił mnie oficyalnie o rękę Lucy.

— ...no i? — spytał d'Espagnac nerwowo.

— No i oddałam mu Luce — odparła markiza, spokojnie zwracając pierścionek pani de la Serre.

— — — — — — — — — —
— — — — — — — — — —

W głębi sali wstał na całą długość mały Falsen, dotąd milczący i nieruchomy, ale usiadł natychmiast.

Lustro jakieś boczne odbiło momentalnie jego gest, z tragiczną patyną ceglastą i pierrotowem wydłużeniem.

Wyczuwaliśmy, że Męka zasiadła pośród nas, więc stało się cicho. Bez słowa piliśmy naszą herbatę, zaledwie usta w niej maczając, odrętwiali jacyś.

Przerażała nas ta matka, pozbywająca się córki, między dwoma pacierzami i dwoma rzutami rulety. Przerażała nas dola Lucy, którą wywiezie barbarzyńca w puszcze bezdenne i którą ścigać będzie zemsta tamtej — poślubionej szeryfowi od kołyski.

Zresztą rozjeżdżaliśmy się już wszyscy, każde w inną stronę globu. D'Espagnac do Indyi, dla ceramicznych poszukiwań — Beatryx do Irlandyi, dla nowego jakiegoś wzoru koronki nowoczesnej — pani de la Serre, bo ja wiem? dla pary oczu, ujrzanej gdzieś kiedyś w przelocie, z okien może pędzącego oryentu? ja wreszcie do tego, który mnie coraz namiętniej przywoływał, sam nie mogąc opuścić misyi powierzonej mu, na drugim końcu świata.

Nastrój więc był ciężki.

Nie odezwało się tedy żadne z nas, gdy raptem stanęli na progu: szeryf, sztywniejszy, niż zwykle, i Luce, niż zwykle, bledsza.

Tylko d'Espagnac, pokrywając wzruszenie, powitał ich językiem Juvenala:

— Chcesz się żenić, Postumusie?! jakiż cię kaprys skłania do tego, abyś kobietę sobie brał, tak długo, jak długo jest jeszcze stryczek, na którym powiesić się możesz — okno, z którego możesz wyskoczyć — tak długo, jak długo most jest na rzece w twojej blizkości?!

Pani de la Serre zaś wstała, jedna rozpromieniona myślą, że Luce znajdzie się w haremie — w tajemniczej świątyni szału — w atmosferze rozkoszy tak straszliwej, jak śmierć.

Luce jednak nie patrzyła na nią. Ogromne jej oczy z palonego indigo, do dwóch kwiatów skabiozy podobne, pobiegły do małego Falsena, proszące jakieś a mocne — jakby poprzez

nicość swoich ideałów namawiały do wytrwania przy ideałach, którym on służył. A potem, łagodne, jasne, spoczęły na twarzy markizy de Clinchamps, jak na bóstwie martwem, któremu się nikt nie dziwi, że jest bezlitosne.

Pani de la Serre tymczasem przystąpiła jeszcze bliżej i, wziąwszy Luce za rękę, włożyła na jej filigranowe, dziecinne palce, błękitną obrączkę z libelul — — —

z tych libelul, co żyją dzień jeden, jak markiza de Clinchamps, jak... Luce.

— — — — — — — — — —
— — — — — — — — — —

Cudne, szczątkowe, jednodniowe rasy.

VII.

LA TRISTA SCIENZA.

Ce n'est pas toi que j'attendais, Depuis [toujours,
Ce n'est pas toi que je voyais
Dans mes rêves d'adolescent et de jeune [homme.
Ce n'est pas toi, que je cherchais
Dans les jolis corps que j'aimais,
Je ne t'ai pas vue
Descendre la colline dans 'un rayonne-[ment...
(André Spire).

VII.

LA TRISTA SCIENZA.

Und alle hat es belogen —
Und alle hat es betrogen,
Das sonnige Märchen vom Glück...

Dziś wieczór zatem stanę przed Tobą, Czarodziejko nieznana — pisał on. *Schylę się do nóg Twoich, jak chłop, i ręce Twoje mnie podniosą, delikatne i ciepłe. Obiecujesz, że zaraz w progu podasz mi usta Swoje, zanim obejrzą mnie Twoje oczy, zanim ręka Twoja dotknie ręki mojej?...*

Chcesz negować teoryi, przeświadczonej, że ręce Twoje idą zawsze w przedniej straży oczu i ust? Ale i potakujesz mi bezwiednie, bo oto

żądasz, abym zdjął rękawiczki, nim stanę przed Tobą.

Widzisz, malutka, serdeczna Królewno, że jednakże potrzebne Ci dotknąć wprzód skóry mojej, by módz mi oddać usta i... Siebie.

Siebie, Siebie, Dziewczynko.

List Twój wre zwątpieniem, wahaniem, strachem nawet.

Obiecujesz mi usta Swoje na progu, a potem piszesz, że cofniesz się w najgłębszy kąt pokoju, aby stamtąd czekać, aż przyjdzie po Ciebie nieznany Ci człowiek, aż się wyciągnie głodnych ramion dwoje, aż oczy obce wpiją się niecierpliwie w szczupłą postać Twoją...

Malutka, serdeczna Królewno! jakżem Cię ukochał w tej trwodze dziewczęcej Twojej przed zagadką miłości męskiej, przed domniemaną brutalnością jego zaborczych gestów!!!

O pójdź, Królewno nieznana, i nie bój się!

Zbyt Cię wypielęgnowało serce moje, aby Cię uraziły moje drżące dłonie, moje spragnione usta, moje rozkochane oczy...

Jakież Ci kwiaty rzucić do stóp?...

Myślę, że nawet kamelie za szorstkie byłyby jako kobierzec dla Twoich małych, cienkich, bosych nóg...

Bo marzę, że z głębi przyćmionego pokoju, z głębi tej hotelowej banalności, wystąpisz Ty nagle, bez szat, biała niezwykłą białością, figurynka alabastrowa i przyjdziesz do rąk moich, bosa, cicha, dobra, uległa, olśniona własną pięknością i szczęściem, które dać masz...

Czy też wystąpisz, jak dumna pani, zakuta w pancerze toalety nowoczesnej, żądająca, by niewolnik klęcząco, powoli, po długiej modlitwie, rozpinał z zapartym oddechem trzewiczki Twoje i suknię Twoją, aby powoli wsysał się oczyma w to ciało, które mu przyobiecujesz,

a które zakrywasz ostatnim gestem wahania przed wzrokiem jego — — — dlaczego? Malutka, dumna, serdeczna Królewno, dlaczego?

— — — — — — — — — —
— — — — — — — — — —

I oto za chwilę ma on przyjść.

Wieczór zapadł dawno.

Osłonięta bronzowym kaszmirem lampa świeci tajemniczo, zupełnie jakby nagle urna z bronzu stała się przeźroczystą i przepuszczała światło, inne, niespodziane, nieznane w kolorycie.

Kaszmir to czyni.

Głąb banalnego, hotelowego pokoju ginie w pomroce, błyszcząc niewyraźnie to klamrą kufra, to przyborem jakimś toaletowym.

Kryształowe kinkiety dzwonią czasem subtelnie, jako pogłos wozu ciężarowego, który

gdzieś na ulicy przewala się raptem i wówczas budzę się z zadumy i odrętwienia.

Odrętwia mnie strach.

Patrzę na zegarek, jak w śnie hypnotycznym, i liczę bezwiednie — — — co? tego nie wiem.

Kaloryfer wodny śpiewa żałośnie i monotonnie — — — jakieś kroki przebiegają pośpiesznie korytarz — — — zrywam się w osłupieniu i zdenerwowaniu i widzę siebie naprzeciw — w lustrze.

Taka wysoka wydaję się dzisiaj, w mojej rdzawej sukni, plączącej się na dywanie, po której pną się leniwo staro-złote aplikacye — — — taka szczupła.

Włosy, naładowane elektrycznością, sypią się jak puch młodych Harcerów dookoła mojej twarzy, zmalałej i bladej.

Czekam — — — na niego.

— — — — — — — — — —
— — — — — — — — — —

W głębi duszy oponuje coś we mnie, ostatnim odruchem hardego jestestwa, które nikomu dotychczas oddać się nie chciało.

Krew dudni w żyłach buntem i przeczuwaną rozkoszą.

Poprzez mroki oddalenia ukochałam przecież dziwnie tego nieznajomego człowieka, którego wzrostu nawet nie przypominam sobie.

Teraz, gdy wejdzie, mam prosto, bez słowa, bez ociągania się, pójść w jego ramiona obce, bo pisałam mu:

— Miłość nasza wyniosła musi być i na inną miarę skrojona. Żadnych wstydów, żadnych komedyi purytańskich. Oddawszy Ci duszę, oddam Ci się ciałem, z prostotą i dumą... Jakżebym mogła iść inaczej w Twoje wybrane ramiona?

Dziwię się tym kobietom, które, oddawszy rzecz najcenniejszą: DUSZĘ, wahają się oddać

rzecz mniej cenną: CIAŁO. Skąd przychodzi to przecenianie jednej wartości kosztem drugiej?!

— — — — — — — — — —
— — — — — — — — — —

Co znajdę w ramionach Twoich?

Szał potężny, co ubezwładnia?...

Ciche, tkliwe uczucie, co wszystką pustkę życia przekreśli? Czy też zawód olbrzymi, fatalny, druzgoczący?...

Obojętne.

Przysięgłam sobie, że gdy to uczucie powstanie we mnie — kiedyś — to właśnie, które dzisiaj łagodną dłoń na czoło mi kładzie, że pójdę za niem. Zwinę skrzydła o lotach samowolnych, zegnę kark i oddam się temu, który moje „ja“ posiadać już będzie.

On je posiadł, więc trzeba ślubowanie dopełnić.

Siedzę tedy w owem mieście obcem i czekam na niego, na pana, na jarzmo, na obrożę...

Spaźnia się. Od dwóch minut powinien już tu być. Młody jest, więc wierzy jeszcze w wiecznotrwałość, a przynajmniej długotrwałość życia i dlatego nie czepia się każdej chwili, która szczęście dać może.

O jakże nieprawdziwem jest mniemanie, że u człowieka młodego miłość jest młoda!

Przeciwnie. Miłość jest młoda, szalejąca, zdobywcza, zazdrosna o każdą sekundę tylko u tych, którzy już w wiecznotrwałość, w długotrwałość życia nie wierzą — bo się do kresu zbliżyli.

Ciekawe te wpływy na wspak...

— — — — — — — — — —

— — — — — — — — — —

Gdybyż miłość Twoja chciała być tak młodą, jak Ty...

— — — — — — — — — —

— — — — — — — — — —

Kroki zbliżają się do drzwi.

Prężę się cała, jak w niewysłowionym bólu, stawy drętwieją, a oczy poszerzają się obłędnym strachem.

Tak — to on.

Nie zamykałam drzwi na klucz, więc otworzyły się cicho, bez pukania i w progu stanął on— — — ten „młody człowiek o matowej twarzy". Odruch jakiś nieśmiały, studencki, zatrzymał go w progu i tak staliśmy naprzeciw siebie, przedzieleni tysiącem drobnych sprzętów, które się wydawały pasmem gór nieprzebytych.

— — — — — — — — — —

— — — — — — — — — —

Dlaczego wynosimy się *darem* mowy nad zwierzęta, skoro w najdonioślejszych chwilach egzystencyi usta nasze milczą, a mówią tylko jak u zwierząt: oczy, lub emanacya naszych ciał?!...

— — — — — — — — — —
— — — — — — — — — —

Fala jakaś ciepła zalała mi serce, więc nagle zaczęłam iść ku niemu, pokornie i radośnie.

Odleciał strach i przyszło pragnienie słodkie oddania się temu kochanemu, ślicznemu człowiekowi, czekającemu w progu.

Lecz w miarę, jak szłam, przekształcał się wyraz jego oczu. Z nieśmiałych, dobrych, wyczekujących, stawały się powoli smutne i jakby zawiedzione.

Usta drgnęły mu — — — bo ja wiem? niesmakiem? żalem? urazą? czy też, jak u małych dzieci, które oszukano haniebnie?

Zawiodłam go.

Czem?

Linią? Gestem? Rysunkiem ust?

Czy podległam tej dziedzicznej fatalności, ciążącej na kobietach, które piszą o sobie, że mianowicie zawsze przy tem stworzą o sobie legendę, baśń, myt, chociażby w stosunku do wszystkiego innego słynne były z realizmu.

Nie wiem.

Mnogoramienny ból wwiercał się w serce moje, coraz władniejszy.

Jeszcze chwilę łudziłam się — jeszcze szukałam, czy nie znajdę zaprzeczenia w tych oczach mądrych, brunatnych, jak światło mojej lampy, owiniętej w kaszmir. Potem ogarnęła mnie demencya ratującego się, chęć złudy, chęć zdawkowego zaspokojenia marzeń, choćby kosztem bezgranicznego upokorzenia.

Więc szłam dalej, postanowiwszy podać mu usta, tak, jak obiecałam. Ale i to się nie spełniło.

Zanim doszłam bowiem do niego, znowu się zmieniły jego oczy. Z niechętnych, rozczarowanych, stawały się zwolna... hulaszcze.

Uśmiech dwuznaczny i nieco pożądliwy rozchylił jego wargi, tak, że tylko kieliszek szampana brakował w jego ręku, aby obraz był dopełniony w nastroju.

Momentalnie, z przedziwną nagłością, obudziła się w nim ta samcza praktyczność, zastosowująca się do każdej okoliczności, wyzyskująca każdą sposobność.

Rozczarowałam go, jako wcielenie zjawy odległej, jako echo tego czegoś feerycznego, co nawet w duszy zwierzęcia śpi. Chwilę tedy drgał niesmak w jego twarzy i żal, ale — — — młodą byłam jeszcze, biodra moje tak się miękko rysowały pod rdzawą materyą, piersi moje tak się modelowały, nerwowe i dziewczęce, pod złotawą gazą — tak ufnie i jawno szłam oddać

się jemu — — — jakiżby mężczyzna odrzucił sposobność podobną?!

— — — — — — — — — —
— — — — — — — — — —

Nie było już w nim ekstazy, tej, co na progu sanktuaryów czołem bije, tej, co kadzielnice rozkołysywała w listach jego. Nie było już żalu za rozwianym snem, było tylko zwykłe, pospolite, męskie zadowolenie z... awanturki.

Szalonym przeskokiem rzuciła się dusza moja w tył.

Obycie towarzyskie tyloletnie, które we mnie umiało każdy odruch w ryzach trzymać, stanęło przedemną jak widmo surowe i nieustępliwe. Brwi, ściągające się tragicznie, pobiegły napowrót ku skroniom, usta stały się uprzejme i grzeczne, tylko może w źrenicach — gdzieś głęboko — drzemał ból.

Wyciągnęłam do niego rękę swobodnie. Zaskoczył go mój gest, ale podległy formom, jak ja, nie okazał tego. Usiadł naprzeciw mnie i zaczęliśmy mówić jak ludzie, którzy się może lepiej znają, ale którzy nie wiele mają sobie do powiedzenia. Za uczciwy, aby rozpoczynać grę ze mną fałszywą, poddał się bez protestu regule towarzyskiej, przezemnie nadanej. Bądź co bądź miłość jego własna, samcza, nie została zbyt gwałtownie zranioną. Dostrzegł przecież skalę wrażeń, która kinematograficznie przebiegła twarz moją: strach dziecinny, miłość, pokora, a wreszcie uprzejmość niezupełnie naturalna.

Subtelność mężczyzny jest raczej żadna, lecz węch jego samozachowawczy jest silny. Próżność jego wyczuje natychmiast, czy dana sytuacya jest wytworzona przez niego samego, czy też wytworzyły ją czynniki od niego niezależne i — to jedynie wpływa na przyjazne jego, lub nieprzyjazne odnoszenie się do tejże sytuacyi.

On — wyczuł się panem sytuacyi, a choć stał wobec zagadki, nie wiele go ona dręczyła, bo mężczyznę dręczy zagadka w kobiecie tylko wtedy, kiedy ta kobieta mu się podoba.

Przez moment próbował osłodzić mi gorzką pigułkę. Takt towarzyski nasuwał mu plątaninę wyrazów szablonowych i prawie że czułych.

Nie reagowałam, więc umilkł.

Nerwy moje dygotały pod żelazną obręczą prawideł salonowych. Uczułam zmęczenie nieskończone. Ramiona bolały mnie, jak gdyby spoczywał na nich niezmiernie ciężki płaszcz — w uszach płakał jakiś dźwięk.

Nie zdałam sobie właściwie sprawy z tego, że on pożegnał się i wyszedł.

Coś mówił? pytał? czy tłómaczył? a literatura wiecznie we mnie błądząca, niosła mi myśli cudze, czytane — gdzieś — kiedyś — w samotnym przedziale wagonu i dawno zapomniane:

Au silence des nuits nos âmes étant closes,
Nous entendons chanter l'hymne lent de nos coeurs—
L'Amour c'est la chanson du coeur, s'il est vainqueur,
Mais mourrant, vous verrez comme il est peu de chose...

Na schodach skrzypiały jeszcze jego kroki, oddalające się powoli — coraz cichszem staccatem — nieodwołalnie.

— — — — — — — — — —
— — — — — — — — — —

Wszystko wokół mnie było nieodwołalne.

Rozłożyłam zziębłe ręce moje na blacie stołu i w przyćmionem świetle elektrycznej lampy przypatrywałam im się jak obcym, filigranowym przedmiotom: dwom skarabeuszom świętym, w których zagadka bóstwa się mieści, dwom ptakom z masy perłowej o drobnych, rozpostartych skrzydłach. Chaotycznie wracały

reminiscencye rzeczy czytanych, tak jak bywało u mnie zawsze, gdy naprzykład nadto zmęczona usypiałam.

Więc Rémy de Gourmont i dowodzenie jego, że dusza i włosy kobiece są jednakiej barwy. Otóż przyszło mi na myśl, że nieomylniejsze są ręce ludzkie, niż włosy, jako probierz duszy.

Patrzyłam w majaczącą plamę rąk moich i czytałam w nich to, czego ludzie nigdy w nich nie odczytali— — — delikatny błękit duszy marzącej, nerwowe fale dreszczu, które długa samotność wytwarza, filigranowość palców dziewczęcych, zakończonych emaliowanym szponem obrończym i ta stalowość samostarczalności, przy jedwabnym naskórku.

Dziwna rzecz, że ludzie przeszli mimo, obok rąk moich, że nawet... jego... nie zatrzymały te dwa znaki białe, tajemnicze, jak znak na koronacyjnej albie chutuchty — skarabeusze dwa,

co zagadkę Bóstwa w sobie mieszczą i ludzką nietykalność hardą i pieszczotliwość niewyzyskaną...

Ptaki dwa z perłowej masy, szukające gniazd...

Podniosłam się, prostując członki, jakby długą podróżą zmęczone — więcej bo męczą programy szczęścia, niż samo nieszczęście — i — leniwo, apatycznie, zbliżyłam się do kufrów. Z szaf wyciągałam suknie, ze stolików zdejmowałam sprzęty i wrzucałam je *pêle mêle* do waliz, ciężko i bezmyślnie.

Nie było nawet godzin dwunastu, gdy je z kufrów wyjęłam.

Szeleściały w palcach moich jedwabie, dźwięczały kryształy przyborów toaletowych, zatrzaskiwały się zamki, chrzęściały safiany...

— — — — — — — — — —
— — — — — — — — — —

— Wszystko chybia celu właściwie — i nikt tak przedziwnie do jezuityzmu nie prowadzi, jak Comte... przypomniały mi się nagle słowa d'Espagnaca.

Niepowiązane z treścią danej chwili, zaczęły mi się snuć migawkowe obrazy.

Ni stąd, ni zowąd, stanęło przed moimi oczyma: ogromne, puste mieszkanie Ove Falsena i to jedyne dzieło sztuki u niego: olbrzym, obejmujący kolana wątłej, nagiej dziewczynki.

Poza tą rzeźbą nie było ani jednego obrazu, ani jednego dzieła sztuki w całem mieszkaniu.

— Dlaczego tylko to jedno? — spytałam.

— Wyszliśmy z paganizmu, pani Lyonne. Bóg może być tylko jeden, albo żaden.

— Czyje to jest? Kamila Claudel? Rodin? Viegeland?

— Cyt, cyt, pani Lyonne... Nie kładźmy imienia temu, co wieczne, a więc bezimienne.

W języku ludzkim niema nazw dla rzeczy wiecznych.

— — — — — — — — — —

— — — — — — — — — —

Och tak! Mnogość nie jest wieczna. To tylko wieczne, co jest JEDNE i temu się imienia dawać nie powinno.

Cudnej mądrości kwiatów, co raz tylko kwitną,
Zamkniętej w ziarnach treści, ucz się, serce, ucz...

KONIEC.

~~64902~~
71253

Wiedeń — Galicya. Roku 120 kalendarza republikańskiego.
Roku 1912 panowania żydowskiego.

SPIS RZECZY:

Słowo wstępne 5
I. Rondele o tem, co ma przyjść . . . 7
II. „Waggelt de pop“ 47
III. La gaya scienza 77
IV. Serce Faraona 91
V. Symfonia kropel deszczowych . . . 121
VI. Libelule 145
VII. La trista scienza 175

WYDAWNICTWA
KSIĘGARNI LITERACKIEJ
KAROLA KWAŚNIEWSKIEGO
W KRAKOWIE.

Brzega Wojciech.

„POSIADY“

Opowiadania z Podhala.

Cena 1 K 20 h.

P. Wojciech Brzega i środowisko góralskie i duszę ludu i język zna wybornie. Opowiadania jego mają też wartość dokumentu życiowego, poniekąd etnograficznego. Jest w nich prawda i bezpośredniość... Taki n. p. obrazek, jak „Jasiek z pod miedze Stolica“ w artystycznem opracowaniu mógłby być klejnocikiem nowelistyki gwarowej. Dopełniające treści tomiku „opowiadania Jaśka Wirhowego“ o ziemi świętej i pielgrzymce do Rzymu, cechuje bezpretensyonalny humor; czynią one wrażenie rzeczy napisanych na podstawie autentycznej gawędy.

„Czas“ 1912. Nr 269.

Kwaśniewski Karol.

Z WIDZEŃ SENNYCH

Poezye.

Cena 1 K 20 h.

Autor niniejszego zbiorku, który, jak się zdaje, jest zarazem debiutem, nie jest bezwątpienia bez talentu. Ale znać tu niewprawną jeszcze rękę, nie tyle może pod względem wierszowania, które jest na ogół poprawne, ile w posiłkowaniu się środkami stylistycznymi. Ale są i wiersze wolne od tych usterek, n. p. pełen szczerego liryzmu wiersz p. t.: „A mnie tak smutno jest bez Ciebie Chryste!“

„Tygodnik Illustrowany“ 1910. Nr 10.

Magjer Rudolf Fr.

Z WIEJSKIEJ ZAGRODY

Obrazki ze wsi slawońskiej.

Z chorwackiego przełożył Jan Magiera.

Cena 2 K.

Znawca słowiańszczyzny i autor paru dziełek z tego zakresu, p. Jan Magiera przyswoił naszemu językowi tomik nowel jednego z nowszych i wybitniejszych poetów i nowelistów chorwackich Rudolfa Franciszka Magjera. Drobne rozmiarami obrazki te, oparte na znajomości duszy słowieńskiego ludu, jego trosk, wierzeń, uczuć i przesądów, noszą jako kompozycye znamiona modernizmu literackiego. Różnią się tem wybitnie od nowel chłopskich polskich autorów, którzy dolę chłopa, jego ukochania i bóle podają w szacie jędrnych, prostych i bezpretensyonalnych opowiadań. Nowele Magjera są utworami rzetelnego talentu; owiewa je tchnienie poezyi nie bez szczerego, tkliwego uczucia. Niektóre czynią wrażenie poematów, dopominających się o rym i rytm. Przekład odznacza się starannością.

„Czas“ 1912. Nr 224.

Savitri.

„PANI SŁONECZNA“

Dramat.

Cena 2 K 40 h.

Jest to dramat, osnuty na tle ostatniej rewolucyi w Królestwie Polskiem.

W poezyi lirycznej ostatniej doby spotykaliśmy się często z nazwiskiem „Savitri“. W misternie rzeźbionej formie, z głębokiem współczuciem dla cierpiących i uciśnionych, przemawiał ten duch zbuntowany. Obecnie Savitri daje nam swój pierwszy dramat p. t.: „Pani słoneczna“. Ale i ten dramat, zrodzony ze wspomnień i ukochań rewolucyi ostatniej, jest tylko dyalogowaną liryką. Unosi się nad nim duch „Pani słonecznej“, symbolu wiecznej, nie zasypiającej nigdy walki o swobodę ludów, o prawo szczęścia dla głodnych i wydziedziczonych. Savitri opowiada krwawą historyę dwojga kochanków, którzy życie swe niosą w ofierze idei. On ginie na szubienicy, a w przedzgonnej chwili ślub bierze z wybraną kobietą z rąk „Pani słonecznej“. Ona porzuca matkę i nieślubne dziecię, aby iść dalej i dalej po usianej trupami drodze wyzwolenia. A gdy jej nie będzie, wtedy syn stanie na szańcu, nowy kochanek i nowa ofiara „Pani słonecznej“.

Cały dramat Savitri, przesłoniony krwawym obłokiem, w którym majaczą cienie widm Maeterlinckowskich, ma piętno owego ducha, który przed kilku laty, niby wicher potężny, szedł po naszym kraju. Miękka dusza kobieca autorki nie zdobyła się na mocną koncepcyę dramatyczną, nie dała wielkich obrazów rewolucyi, ale

rzuciła garść wspomnień bolesnych, zarumienionych krwią własną. Najpiękniejszą w „Pani słonecznej“ jest strona wizyonerska utworu, najsłabsze samo życie, sam realizm rewolucyi, który zakląć usiłowała w kształt dramatyczny.

„Kuryer Warszawski“ 1912. Nr 298.

Stopka Andrzej.

RYCERZE ŚPIĄCY W TATRACH

Fantazye na tle podań ludowych.

Cena . . . . . 2 K 40 h.

„ w oprawie płóciennej 3 K.

Pradawną tę baśń włożył autor w usta starego pastucha Nędzy, który opowiada ją juhasom i gromadzie pątników, powracających z Chochołowa z odpustu na św. Jacka. Gawędy te brzmiące niekłamanym podźwiękiem prostoty, odznaczające się zwięzłą plastyką, tak właściwą każdemu szczerze chłopskiemu opowiadaniu, skreślone autentyczną gwarą podhalańską, owiewa urok prawdziwie ludowej bajki, podawanej przez dziesiątki lat z ust do ust, a zawdzięczającej swe powstanie nie twórczości jednostki, lecz zbiorowej wyobraźni ludu.

„Wisła“ 1912. Nr 9.

Autor „Sabały“ zawarł w tej książce legendy o śpiących rycerzach w formie opowiadania starego pastucha Nędzy, zwanego Skwarkiem. Baśń, włożona w usta sędziwego górala, skreślona jest autentyczną gwarą podhalańską z uczuciem i poezyą naiwnych opowieści ludowych, na których powstanie składają się długie lat dziesiątki, a tworzą je nie wyjątkowe jednostki, lecz zbiorowa wyobraźnia ludu.

Nuta baśni ludowej nigdzie w książce p. Stopki nie wpada w ton fałszywy; brzmi niekłamanie podźwiękiem prostoty. Właściwy koloryt nadaje też językowi zwięzła plastyka, stanowiąca cechę każdego szczerze chłopskiego opowiadania.

„Czas“ z 16 marca 1912.

Strindberg August.

MIŁOŚĆ A CENY NA ZBOŻE

Nowele satyryczne.

Cena 2 K.

Siedm bardzo ładnych nowel o zajmującej treści i tendencyi, opartej na głębokiem zrozumieniu smutnych warunków ludzkiego życia, wypełnia tomik powyższy. Książeczkę zdobi doskonały portret Strindberga z lat młodzieńczych.

„Gazeta Lwowska“.

Zebrane tu nowele znakomicie charakteryzują talent i rodzaj twórczości Strindberga. Pełne są one zgryźliwej ironii, satyry ostrej i rozpętanej, a w tem rozpętaniu nie cofającej się przed żadną uznaną świętością i żadnym uznanym autorytetem. Zwłaszcza „Byk święty", z drastycznym realizmem komentujący genezę cudowności i nie cofającą się nawet przed absurdem potrzebą wiary u tłumu, jest jaskrawą ilustracyą do starego spostrzeżenia: „mundus vult decipi..." i śmiało mógłby poczesne zająć miejsce w szeregu znanych Multatuli'ego „historyj o autorytecie". Reszta nowel, to przeważnie melancholijno-ironiczne rozpatrywanie dziejów miłości i życia par kochających się niegdyś wiosennie, a obecnie będących już w jesieni życia zarówno jak miłości — w skrócie w tył, który zgęszcza barwy ciemne i etapy przeżyć wraz z ich treścią bogatą czyni niemal niewidzialnymi, ukazując tylko rezultaty znikome i zwiędłe niejako, z perspektywą starości bezradosnej i bliskiego już końca. Cały zbiorek nowel tu zawartych, to ostry zgrzyt pesymistycznej ironii na tle kontrastu pomiędzy finansową prozą życia i jego wymagań, a miłosnemi iluzyami i beztroską nowożeńców. Kończąc tomik niespodziewanie optymistycznym akordem „Róże z Nordaskiög", to znowu formalny, pełen entuzyazmu i radości życia hymn na cześć dziecka, jako celu i uwieńczenia małżeństwa, zakładu nieśmiertelności gatunku — dla dwojga zakochanych, którzy na dnie puharu miłości czują już gorzki posmak osadu, nudy i przesytu — obietnica odrodzenia w nowem, nowe piękno i nową radość niosącem istnieniu.
„Nowa Reforma" 1912. Nr 236.

Mark Twain.

BIAŁY SŁOŃ

i inne humoreski.

Cena 2 K.

Nazwisko Marka Twaina i jego dobytek literacki mają i u nas tak głośną sławę, że reklamy chyba żadnej nie wymagają. Z całego zbiorku powyższego tryska humor, nie pozbawiony jednak zjadliwości i złośliwości.

Wiśniowski Józef.

DOLINA ŁEZ

Dwa dramaty z niedawnej przeszłości.

Cena 4 K.

SEN DNIA LETNIEGO

Trzyaktowy pastel sceniczny.

Cena 3 K 60 h.

Jak w poprzednich utworach, tak i w ostatnim, pełnym słońca i pogody „pastelu scenicznym" okazał utalentowany poeta, że nie hołduje dzisiejszemu pesymizmowi i neurastenii w literaturze. „Sen

dnia letniego" — to na tło białego, szlacheckiego dworu i skąpanego w słońcu ogrodu, rzucona sielanka i młodych i starych. Sędziwy pan Michał Radwan, z iście Fredrowskim sentymentem skreślona postać, obchodzi z swą żoną złote gody szczęśliwego pożycia małżeńskiego. Przybyły na tę uroczystość między innym dwie młode pary, których serca skłaniają się ku sobie. W szeregu scen, umiejętnie stopniowanych, dochodzi do uświadomienia sobie wzajemnych uczuć, w końcu do wyznań. Ci młodzi, lubo tegocześni, dzisiejsi, daleko odbiegają od figur literackich, jakie nam obecna produkcya piśmiennicza przynosi. Nie przestając być dziećmi swego wieku, mają jednak na licach „życia rumieniec", szlachetność dusz i czystość uczuć. Życie realne daje nam takie postaci; gdyby ich nie było, zwątpićby należało o przyszłości; tężyzna młodości, zdrowie moralne istnieją i wśród dzisiejszego pokolenia, tylko twórczość literacka ich nie dostrzega. Wiersz p. Wiśniowskiego, wdzięczny i potoczysty, jest szczęśliwą formą dla tej słonecznej sielanki, której akcya toczy się żywo, obfituje w momenta pogodnego humoru i nie razi nigdzie rozdźwiękiem, odbiegającym od przewodniego tonu utworu.

„Wisła" 1912. Nr 5.

Boguszewski Stefan.

OGÓLNE ZASADY HODOWLI

Cena 50 h.

Bujwidowa Kazimiera.

CZY KOBIETA POWINNA MIEC TE SAME PRAWA CO MĘŻCZYZNA?

Cena 50 h.

Daszyńska-Golińska Dr Zofia.

Z CZEGO POWSTAJE PIJAŃSTWO I JAK Z NIEM WALCZYĆ?

Cena 50 h.

Glass Grzegorz.

GROMADA I CZŁOWIEK

Cena 1 K 20 h.

Herod Franciszek.

W JAKI SPOSÓB ZASTĄPIĆ OSOBLIWKI?

Podręcznik dla lekarzy i aptekarzy.

Cena 3 Kor.

Prof. Dr W. Jaworski po przeglądnięciu rękopisu pisze: „Zwracam WPanu pożyteczną pracę, która jest na czasie, a lekarzowi i aptekarzowi, pojmującemu swój zawód rzetelnie, odda wielką usługę. Może przynajmniej pewien ich procent nie da się już złapać na wędkę bezwstydnej reklamy inseratowej".

Heryng Zygmunt.

CO DA ENCYKLOPEDYA LUDOWA ROBOTNIKOM I WŁOŚCIANOM?

Cena 50 h.

JAKĄ BYĆ WINNA ENCYKLOPEDYA LUDOWA?

Cena 30 h.

Krauz Dr K.

O BUDOWIE I CZYNNOŚCIACH CIAŁA LUDZKIEGO

Cena 1 K.

Magiera Jan.

DUNAJEM PRZEZ WĘGRY

Cena 24 h.

Magiera Jan.

JĘZYK POLSKI W SZKOLE

Wskazówki metod.

I. Czytanie Pana Tadeusza na stopniu niższym.

Cena 90 h.

II. Ćwiczenia pisemne na stopniu średnim.

Cena 2 K.

Omówione tu są formy wypracowań pisemnych, ich zasadnicze postaci jak: dyktat, opowiadanie, opis, dyspozycya. Autor nie narzuca reprodukcyi, mimo, że nie jest i wolnych tematów przeciwnikiem, a ponieważ reprodukcya ma być nie niewolnictwem cudzej myśli, ale twórcza, przeto reprodukcya znalazła tu szczególniejsze omówienie.

Na podstawie czytanek gimnazyalnych ułożono tu kilkadziesiąt tematów takich. Będą one niewątpliwie dobrą pomocą i wskazówką korzystającym z tych uwag.

I wolne tematy dopuszcza nasz pedagog, szuka ich przeważnie w życiu ucznia i jego otoczeniu, szczególnie w przyrodzie i przyrodniczych spostrzeżeniach. Uwagi swoje ilustruje ponadto okazami rzeczywistych wypracowań uczniów swoich, co jest nowością pożyteczną i zasługującą na uznanie. Najważniejszy może dla nauczającego będzie rozdział o poprawianiu nauczycielowem i uczniowem ćwiczeń pisemnych. Kilkaset „błędów" wydobyto tutaj z zeszytów uczniowskich. Rozdział ten jest jakby podręcznym poradnikiem językowym.

Gdzie tylko autor rzuca spostrzeżenia i myśli swn społeczne i narodowe, tam czuć gorące serce polskie i wtedy zdaje się, jakoby nie pedagogiczną czytało się rozprawkę, ale jakieś serdeczne głosy Staszicow lub Komisyi Edukacyjnej.

„Szkoła" 1912. Rocz. XLV, zesz, X.

LUDNOŚĆ POLSKA W BOŚNI

Cena 80 h.

NA JUGU SŁOWIAŃSKIM

Cena 1 K 50 h.

Z wielką sympatyą należy powitać powyższą książeczkę, przez dobrego znawcę świata słowiańskiego napisaną. Niema tu całkowitego i systematycznego opisu południowej Słowiańszczyzny, lecz szereg luźnych opisów i notatek z kilkakrotnych podróży; o ile przez to dzieło traci na naukowej wartości, o tyle zyskuje na żywości

i czyta się z zajęciem. Opisy miast, pięknych widoków, wycieczek w góry, przeplata autor uwagami o społeczeństwie, sposobie życia, kulturze, przeszłości południowych Słowian, o ich literaturze i pieśniach ludowych.

„Nowa Reforma“ 1911. Nr 331.

RYMIKA ZYGM. KRASIŃSKIEGO

Cena 1 K 20 h.

Mańkowski Mieczysław.

ZŁOTY DAR CZŁOWIEKA

Wieczory więzienne.

Cena 2 K 60 h.

Złotym darem człowieka nazywa autor zdolność wprowadzania w czyn swych postanowień, czyli wolę. W książce niniejszej, napisanej w sposób zajmujący, wykazuje autor na żywym przykładzie ciężkich doświadczeń i przeżyć, jak wolę tę kształcić, wyrabiać i do praktycznych celów i wskazań, dobro ogółu i jednostki mających na celu, stosować.

Od popularnych i modnych u nas w ostatnich czasach książek amerykańskich autorów, poświęconych kultowi „woli do życia“, utwór ten tem się dodatnio lub ujemnie, zależnie od punktu widzenia — różni, że dźwięczy w nim silnie nuta społeczna, że cel i ideę życia człowieka widzi nie w szczęściu jednostki, lecz w szczęściu i dobrobycie społeczeństwa, do którego ona należy, a z którego pomyślnością ściśle jej losy są związane. Wiara w postęp i gorący patryotyzm przenikają karty książki, która, według słów autora, jest „próbą wydobycia podstaw tego, co już jest i żyje, co już się rodzi w Ludzie Polskim“. Usiłuje ona rozbudzić nietylko w jednostkach, lecz w narodzie całym drzemiące w nim siły do wprowadzania swych postanowień w czyn. Albowiem „od czynów zależy dola jednostek i ludów. Człowiek żyje pełnem życiem, o ile rozwinął swój Złoty Dar“.

„Nowa Reforma“ 1912. Nr 159.

Mańkowski nie jest literatem ani z zawodu, ani w tem znaczeniu, że dla mniej lub więcej interesującego go tematu umiałby zawsze odnaleźć odpowiednio piękną formę. To człowiek Idei i Czynu. Wie on, ile wysiłków potrzeba, żeby myśl w czyn zamienić — ile serdecznego trudu kosztuje zdobycie „Złotego Daru“. Dziś w chwili wypoczynku płynie pieśń jego ku wzmocnieniu serc słabych lub chwilowo zwątpiałych — płynie z szerokiej piersi, krzepiąc i wzmacniając ducha. Echo serc współczujących daleko ją rozniesie.

„Naprzód“ 1912. Nr 80.

Markiewicz Stanisław.

SKOROWIDZ PRZEKROCZEŃ POLICYJNO-KARNYCH,

podlegających jurysdykcyi władz politycznych i policyjnych pierwszej instancyi.

Cena 4 K.

Niezmiernie pożyteczna książka, bo w treść swą wciąga najświeższej daty rozporządzenia i ustawy; pożyteczna, bo umożliwia szybkie wyszukanie przepisu odnośnego, trafne określenia istoty czynu karygodnego i zastosowanie należnej kary ze wskazówką o przeznaczeniu grzywny karnej w terminie rekursowym. Skorowidz ten jest pożądanym podręcznikiem tak dla zawodowych prawników, magistratów i urzędników gminnych, jak także dla stowarzyszeń przemysłowych, organów bezpieczeństwa publicznego (żandarmeryi, straży polowej, lasowej, straży rybołostwa i t. p., a nawet dla osób prywatnych).

W rubrykach odpowiednich, wedle działów przepisowych, zestawia Skorowidz przy każdym przepisie istotę czynu, paragraf mówiący o danem przekroczeniu, podstawę prawną wymiaru kary, rodzaj kary, użycie grzywny, termin rekursu i przedawnienie. Nadto w uwagach daje bliższe określenia dla tego lub owego punktu.

„Głos urzędniczy“ 1912. Nr 2.

Nałkowski Wacław.

GEOGRAFIA OGÓLNA

Cena 1 K 25 h.

Ramus Pierre.

BANKRUCTWO PARLAMENTARYZMU

Cena 20 h.

Turczynowicz S.

JAK OSUSZAĆ ZAMOKRE I JAK NAWADNIAĆ ZASUCHE GRUNTY?

Cena 50 h.

Wróblewski Dr Augustyn.

LISTOPADÓWKA

Cena 2 K.

Wróblewski Dr Augustyn.

MONIZM

Cena 1 K 60 h.

Wróblewski Kazimierz.

ROLNICTWO

Cena 1 K 25 h.

Zgliński Daniel.

WSZECHMOC WYOBRAŹNI TWÓRCZEJ.

Idee odległej przyszłości.

Cena 2 K.

Sposób snucia refleksyi w tych dziesięciu rozdziałach, pisanych świetną prozą, przypomina najlepsze stronice z książek Emersona...

...Kto nie szuka „nowości" księgarnianej, ale istotnej wartości w dziełach — ten książki p. Zglińskiego nie ominie z pewnością".

„Gazeta Poniedziałkowa" 1911. Nr 39.

...„Należy przyznać, że autor „Wszechmocy wyobraźni twórczej" — wyróżnia się między wielu twórcami pięknych utopii o przyszłości konsekwencyą logiczną, naukową, niepomierną erudycyą i pięknemi myślami, które wielokrotnie wznoszą czytelnika niemal do poziomu poezyi.

...„Jako całość, stanowi piękną, szlachetną, zajmującą w czytaniu pracę, którą polecić można wszystkim interesującym się zasadniczemi zagadnieniami bytu ludzkiego.

„Nowa Gazeta" 1911. Nr 536.

Doskonały sposób pisania, oraz tajemnica nie męczenia, lecz przeciwnie, niezmiernie przyjemnego odświeżania myśli, czynią z ostatniej pracy polskiego myśliciela cenny nabytek dla każdego interesującego się tajemnicami własnego ja czytelnika, pragnącego w chwili ciszy wieczornej przepędzić miłą godzinę poważniejszego zastanowienia się nad sobą.

„Kuryer wileński" 27/XI 1911.